

STANISŁAW PIASKOWSKI

Wojewoda Wrocławski

# Z perspektywy dwu lat

Gdy dwa lata temu jako Pełnomocnik Rządu Tymczasowego RP obejmowałem wraz z grupą pierwszych pracowników w polską administrację powiaty i miasta Dolnego Śląska, odczuwaliśmy wszyscy wielką dumę, że to nam właśnie przypadł w udziale zaszczyt przejmowania tych starych piastowskich ziem. że my zostaliśmy powołani do tej historycznej misji. Pełz wspomnień nasuwały nam nazwy miast i miasteczek jak Wrocław, Legnica, Głogów czy Psie Pole; nieudolnie pod germańską powioką ukryte nazwy wiosek czy osad; tyśiączne ślady polskości tych ziem znajdujące się w kościołach, na grobowcach książąt, po zamkach lub murach starych budowli. Witła nas na każdym niemal kroku polska przeszłość, której nie zdołały zatrzeć stulecia zaborczych rządów, stulecia niemieczyny, stulecia wynaradawiania, rządy raubriterów, wielkich posiadaczy ziemskich, urzędników Bismarcka czy Hitlera.

Pełni uczucia dumy i radości, zdawali sobie jednak sprawę z tego, że nasze historyczne prawa stanowić mogły dla nas legitymację na odjęcie tych ziem, że jednak trwałe prawa do nich zdobędziemy wtedy, gdy naszą pracą nad ich odbudową i zagospodarowaniem udowodnimy naszą zdolność do ich utrzymania.

Historyczna decyzja Konferencji Poczdamskiej uprawniała nas do włączenia tych ziem w granice naszego Państwa; wspólny, wielki i ciągły wysiłek całego naszego Narodu da nam prawo wiecznego ich posiadania. Zdawali sobie więc sprawę z wielkich obowiązków, jakie na nas ciążyły za ich wypełnienie. Myśmy oowiem kładli podwaliny pod przyszłość Dolnego Śląska, od tego jaka będzie nasza praca zależało w tej przyszłości bardzo wiele.

Armia niemiecka cofając się stosowała nie tylko środki koniecznej obrony, ale z bezmyślnym barbarzyństwem niszczyła wszystko za sobą, pozostawiając gruz, ogień lub zgliszcza. W ten sposób pruski zaborca przekreślał swe prawa do tej

dzielnicy; zrzekał się prawa powrotu; wiedząc, że traci bezpowrotnie te ziemie, pragnął je oddać w stanie zupełnej dewastacji. Pamiętać należy, że wyborowe oddziały SS broniły się na terenach podsudeckich i we Wro-

clawiu dłużej niż w Berlinie, że złożyli broń dopiero w momencie kapitulacji Niemiec.

Patrząc na zwaly gruzów, jakie zaścilały ulice zajmowanych miast, miasteczek, osad, ba, nawet wiosek;

na zaminowane pola porane rowami strzeleckimi; na drogach poprzeczane przeciwzołgowymi zaporami; na stami; na pozawalane tunele i przejazdy; na całą tę masę zniszczenia



odczuwaliśmy wielką troskę, czy my zdołamy wykonać nałożone na nas zadanie.

Wyczerpaną wojną i okupacją nasz kraj; wyczerpaną kupacją i terrorem nasz Naród nasz Rząd prowadzący wojnę z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym, któremu stale rzucano kłody pod nogi — nie mogły dać nam tych wszystkich, nieraz koniecznych, środków do wykonania naszych zadań. Odczuwaliśmy brak taboru samochodowego, koniecznego wobec zniszczenia linii i sprzętu kolejowego; odczuwaliśmy trudności aprowizacyjne; a nade wszystko mieliśmy niedostateczną ilość ideowych, silnych i wytrwałych ludzi.

Jeżeli dzisiaj po dwóch latach pracy, możemy poszczycić się poważnymi osiągnięciami, mimo tych wszystkich trudności, to mogą z radością stwierdzić, że są one owocem zbiórowego wysiłku, na jaki w tych warunkach nie mogły się zdobyć żaden inny naród, który byłby tak strasznie doświadczony przez ostatnie lata. Dokonał tego nasi polscy robotnicy i osadnicy, nasi repatrianci i przesiedleńcy, nasi inżynierowie i technicy, nasi nauczyciele, nasi pracownicy administracji i samorządu, nasi górnicy, kolejarze, pocztowcy.

Gdy przebiegam myślą ten dwuletni okres pracy, dzięki której zniszczony kraj, zamieszkały w znacznej części przez wroga nam ludność, przywróciliśmy Polsce i dzwigamy z upadku, w jaki wciągnął go poprzedni posiadacz, przesuwają mi się przed oczyma strudzone postacie, tych, co budowali na naszej ziemi nową, dzisiejszą, polską rzeczywistość i wspominam ich z uczuciem wielkiej życzliwości i wdzięczności, jakie daje wspólne wykonane dzieło.

Leszek Goliński

## Szarża pancerna

Rozkaz brzęczy w słucha wkach. Dano znak: wyruszyć.  
Rzygnęły twardym rytmem ospałe silniki,  
Dźwięki szyje armatnie grzyzą błady błękit.  
Ożył martwy zagajnik i nastawia uszy  
Zrywają się na nogi trwożliwe osiki  
Spoglądając na siebie z bezgranicznym lękiem...

Na polu ranek zbudził pi pierwsze cekaemy.

Drgnęły sznury gasienic. Z chrzęstem i warkotem  
Wyszarpują spod siebie grudki czarnej ziemi,  
Oddychają strudzone nad leśnym wykrotem  
Charczą nad grząskim ro wem i jak tępy leniesz  
Rozgarniają smugami lep kie, ciepłe brudzy...

Na niebie brzęczy lotnik. Zbudził słońce ze snu.

Ktoś szarpnął tuste czołgi za stalowe uzdy;  
A teraz w tyraliere: napozór bezładnie  
s rykiem nagle wściekłością zajadłych motorów  
przez ciszę pół wiosennych przedrzeć się, jak bagnet,  
zgnieść wszystko — wziąć pod siebie oslepy horyzont

w strzępy porwać zasieki, gryźć, sapać i rzeźić  
i walić kopytami słońce na uwięzi...  
słyszycie?

To pancerny  
szturm uje  
dywizjon!

Gejzery czarnej ziemi... P siakrew! Już spostrzeżli...

Prędzej... prędzej... ustami spalone powietrze...  
Dychawiczne — motory — na ostatni — wyścig —  
lufy dymią z gorąca — ogień — dławi — przestrzeń —  
Kto powstrzyma w galopie tabun mienawości?  
Stal szaleje. Omdlałe opa dają ręce.  
Ziemia jęczy od ognia. Piasek sypie w oczy.  
Przejsć. Przerwać się. Przewiercić. Podeptać. Przytłoczyć.  
I — zwyciężyć!

Przekleństwo...

I nie nie czuć więcej...

A potem?

Potem cicho. Bóg w okopach zginął  
Ranione słońce wierzga z bólu za olszyną...



# Najpilniejsze problemy gospodarki m. Wrocławia

Minęły 2 lata pracy nad odbudową zniszczonego miasta — pracy pionierskiej najlepszych ludzi, wpa-  
trzonych w ostateczny cel: ożywienia i uruchomienia wszystkich dziedzin życia naszego Wrocławia.

Pomimo wielkich trudności gospodarczych okresu powojennego miasto dźwiga się z gruzów, a dzieje się to dzięki zrozumieniu ludności miejscowej, która potrafiła swej pracy radąć *piętno polskości*, zacierając resztki niemieczyzny.

Trzeci rok gospodarki po wyzwoleniu Wrocławia stawia przed Zarządem Miejskim olbrzymie zadania. Mimo wyjątkowej pracy nie zdołano dotąd odbudować całkowicie zakładów użyteczności publicznej. Jakkolwiek uruchomiono dzięki najwyższemu wysiłkowi robotnika i inżyniera polskiego wiele zakładów — to jednak wszystkie urządzenia są przestarzałe i wymagają renowacji.

W czasie wojny, a nawet i na kilka lat przed wojną — Niemcy nie odnawiali urządzeń, obracając wszystkie swe siły i zasoby na zbrojenia. Toteż pozostawili nam zużyte urządzenia. Do tego doszły jeszcze uszkodzenia wojenne.

Abymy postawić na wysokości zadania miejskie zakłady użyteczności publicznej, potrzeba kilkaset milionów złotych, których miasto nie posiada. Czynniki energiczne zabiegają, aby w ramach planu trzyletniego uzyskać taką ilość kredytów, która by umożliwiła odbudowę i zmodernizowanie elektrowni, gazowni, zakładów komunikacyjnych, sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Jest również rzeczą konieczną, aby mieszkańcom miasta zapewnić higieniczne warunki bytowania.

Następnym zagadnieniem jest sprawa remontu domów mieszkalnych. Bez przygotowania mieszkań dla kilku tysięcy rodzin robotniczych nie będzie mógł przemysł wrocławski rozwinąć swej produkcji. A przecież bez wyzyskania pełnej zdolności produkcyjnej każdego warsztatu pracy, nie ma mowy o całkowitej odbudowie naszego życia gospodarczego.

W tej dziedzinie Zarząd Miejski podjął szereg decyzji i poczynił kroki, mające na celu zmobilizowanie możliwie wielkich sum na remont budynków mieszkalnych.

W dziedzinie życia kulturalno-oświatowego pragnie Zarząd Miejski w bieżącym roku poświęcić więcej uwagi zagadnieniom teatru ze szczególnym uwzględnieniem scen

ny robotniczej i zespołów amatorskich.

Kultura muzyczna winna być również troską Zarządu Miejskiego.

Sprawa biblioteki publicznej i muzeum miejskiego jest przedmiotem wielu narad i starań Zarządu Miejskiego.

Wiele innych zagadnień dnia codziennego (jak np. oczyszczanie miasta z gruzów), będzie rozwią-

zywał Zarząd Miejski w oparciu o Miejską Radę Narodową.

Za Wrocław i jego rozwój nie tylko Zarząd Miejski jest odpowiedzialny. Odpowiedzialni jesteśmy wszyscy, wszyscy więc wyteśmy swe siły dla odbudowy naszego miasta.

Mając dwaletnie doświadczenie nad odbudową 230.000 miasta, będziemy nadal pracować ramie przy ramieniu, zjednoczeni *wspólną ideą*

twórczej pracy nad dalszym rozwojem Wrocławia — godnego ośrodka kultury polskiej, stolicy na Ziemiach Odzyskanych.

Naród Polski zjednoczył się w pracy nad odbudową świadomy, że buduje *lepsze życie* i utrwala fundamenty Odrodzonej Polski Ludowej.

W trzecią rocznicę zwycięstwa możemy powiedzieć, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo — *pracy, stabilizacji politycznej i gospodarczej* nad rozwojem i odbudową naszego, polskiego Wrocławia.



BRONISŁAW KUPCZYŃSKI  
Prezydent m. Wrocławia

## Od wieży Babel do jednej rodziny

Dolny Śląsk — to próbówka nowego społeczeństwa Polski. Dolny Śląsk — to teren, gdzie Polak spod Lwowa i Paryża znaleźli jeden język i jedną Ojczyznę.

Na ostatniej sesji Rady Naukowej dla zagadnień Ziemi Odzyskanych, podkreślona została zgodnie sprawa stosunków między poszczególnymi grupami osadniczymi na Ziemiach Zachodnich. Jak ustalono na podstawie doniesień lokalnych korespondentów, najczęściej wzajemnych tarć i nieporozumień zanotowano dotychczas na Śląsku Opolskim, Mazurach i Warmii. Najlepiej ułożyły się stosunki na Ziemi Lubuskiej z prostych przyczyn, stosunkowo niewielkich grup autochtonicznych na tych terenach.

Jak przedstawia się sytuacja w miastach i wsiach Dolnego Śląska?

### Wieża Babel

Ludność t. zw. autochtoniczna Dolnego Śląska nie odgrywa dzisiaj poważniejszej roli w życiu całej dzielnicy, ze względu na niewielki stan liczebny. W grę wchodzi jedynie dwie największe grupy: grupa repatriantów z linii Curzona, będąca najsilniejszą i najbardziej zwartą, grupa osadników z Polski centralnej (przeważnie z Warszawy i okolic Krakowa), wreszcie grupy reemigrantów z Zachodu, wsiakające zwolna w pozostałe dwa śródowiska.

Osobno zupełnie potraktować musimy Polaków — repatriantów z Francji, Jugosławii i Belgii, dalej

repatriantów z Rumunii (osiedlonych już na pograniczu Śląska Opolskiego), grupę osadników wojskowych, ulokowaną po wsiach pogranicza, wreszcie grupę żydowską, scentralizowaną w okolicy Dzierżonowa.

Jak widzimy, teren Dolnego Śląska ma znacznie więcej skomplikowane stosunki ludnościowe, niż to sądziła obserwacja w Polsce centralnej.

Pomimo tej prawdziwej wieży Babel nie zanotowano w ostatnich czasach żadnych poważniejszych tarć, żadnych nieporozumień. Przeciwnie, dzisiaj teren Dolnego Śląska wytworzył coraz szybciej specyficzne, kresowe społeczeństwo, wzmocnione zdrowymi zastrzykami krwi polskiej z emigracji. Tajemnicą tego zespolenia ludności Dolnego Śląska tkwi w czym innym. Przyjrzyjmy się poszczególnym grupom po kolei.

### Trzy grupy ludności

Repatrianci z linii Curzona są elementem pełnowartościowym. Tworząc na dawnych ziemiach wschodnich społeczeństwo kresowe, wszystkie cechy swego charakteru, t. j. wytrwałość, upór, przywiązanie do ziemi przenieśli na nowy teren.

Osadnicy z Polski centralnej wnoszą domieszkę ożywczą i przedsiębiorczą. Stanowią oni może w wielu wypadkach element słabszy, niemniej jednak wtapiają się już w środowisko i nabierają zupełnie nowych i dodatnich cech.

Reemigranci z Francji, Jugosławii,

Belgii czy Rumunii siłą faktu są doskonałym elementem kolonizacyjnym. Każdy kto zetknął się na Dolnym Śląsku z gminami t. zw. francuzów, odnosi wrażenie, że spotkał się z najbardziej aktywnymi ludźmi, jakich trudno spotkać na innych terenach. Pomimo początkowych dosyć nawet poważnych różnic i nieporozumień, dzisiaj Polak spod Lwowa i spod Paryża znaleźli jeden język i stanęli przy jednym warsztacie czy na jednym zagonie do pracy.

Podobnie rzecz się ma z pozostałymi grupami ludności Dolnego Śląska.

### Droga jest trudna

Proces ten nie przebiegał szybko i łatwo i ślepy byłby ten, kto by twierdził, że dzisiaj jest już idealnie. Musi upłynąć sporo wody w Odrze, nim zairą się ostatnie różnice i nieznikną ostatnie uprzedzenia. Zbyt daleko żyliśmy od siebie, zbyt szeroko rozszalał nas los po świecie, abyśmy dzisiaj zebrani, na jednym terenie, mogli zacząć życie, jak w jednej rodzinie. Chłop spod Tarnopola nie odrzuca zrozumienia robotnika rolnego, urodzonego w północnej Francji, który przyjechał tu z własnym rowem i akordeonem. Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło. Podzieleni na dzielnice, chorzy na patriotyzm lokalny, nigdy nie mogliśmy pogodzić się dawniej z Polakami, mieszkającymi od nas o zaledwie paręset kilometrów. Dziś wspólny los i wspólna praca musi dokazywać tego, o czym nie marzyło się nam, śmielszym reformatorom.

Mają być dzisiaj na świecie przy-

kładów tworzenia się nowych społeczeństw. Zjawiskiem tym powinni się żywo zainteresować literaci i socjologowie. Czegoś podobnego nie obserwuje się często. Naród nasz, zamieszany w konserwatyzmie i tradycje wszedł nagle na nowe tory, a raczej na nowe betonowane autostrady. Dzisiaj już odnaleźliśmy siebie, a co ważniejsze, odnaleźliśmy naszych zapomnianych braci.

Rodzi się nowe niebezpieczeństwo; nie cała Polska bierze udział w kształtowaniu się nowego społeczeństwa polskiego na Ziemiach Odzyskanych. Już dzisiaj trudniej jest się nam porozumieć z tymi, którzy zostali na „starych” ziemiach w Łodzi, Warszawie czy Krakowie. Czy język nasz będzie dla nich zrozumiałym za lat kilkadziesiąt?

Życie dyktuje nam nowy marsz. Nikomu nie wolno pozostawać w tyle. Polacy sami siebie uważali za naród kłótlivy, ale okazało się, że przywarę tę zagubili na jakimś zakręceniu dróg. Dolny Śląsk jest próbówką nowego społeczeństwa polskiego. Stwierdzić trzeba bezstronnie, że doświadczenie uświadomiło nam w zupełności. L. G.

**Ładajcie wszędzie SŁOWO POLSKIE. Pismo dla wszystkich**

## W pogoni za książką

(Wspomnienie Referatu Rewindykacyjnego Grupy Naukowo-Kulturalnej)

Najpierw był okres improwizacji i przygody. Był to wypadek w nieznanym, niebezpiecznym, a nawet niejednokrotnie fascynującym. Romantyczna ta, tak nam Polakom, naszemu charakterowi, odpowiadająca, niejednego z nas wabiła i kusila, pomijając naturalnie wzniosłe cele kulturalne. (Mowa tu o ideowcach, a nie pospolicich szabrownikach).

Bo proszę, jechało się na Piastowskie ziemie, a Piastowszczyzna ma w sobie coś z baśni i legendy, wszystko w jakichś historycznych mgłach — Wandy, — Jadwigi, Mieszki. Bo ki. Wszystkie to jakieś tęskne wspomnienia z dzieciństwa. A po drugie, wypadło się w odwrotnym kierunku — wszak nasz rozmach siedzi przez wieki gdzie indziej. I właśnie dlatego tylko typowi ryzykanci oraz ludzie mocni i dzielni odważyli się na ten krok.

### LEGENDA W RUINACH I ZGLISZCZACH

Pierwsze wrażenie było odpychające. Ruiny, wrażeń palenizny, trupie odory i tysiące zachmurzonych Niemców, no i suszka na ulicach i placach, bo Niemcy przycupnęli po ruinach, a my — to tylko jednost-

ki. Ktoś wyrwany z ośrodka już pulującego prawie życiem normalnym czuł się tu istotnie i głupio i jak na tym, oklepanym już „dzikim zachodzie”.

Nie było jednak zbyt wiele czasu na kontemplację, bo należało jak najszybciej ruszyć w gruzy i ruiny. Jeszcze pożary szalały tu i ówdzie, a „pospolity szabrownik” nieustrudnie nie przeorywał poządlawie każdy cal Wrocławia i właśnie to, co mieliśmy uratować, bezwzględnie niszczył. Po szliśmy więc w zawody z tą szarańczą i to przeważnie skutecznie.

Dyrektor Antoni Knot swej szczerzej ekipy bibliotecznej (Kol. Kol. Zofia Gołomska, Wojciech Kwaśnica, Stanisław Szczepankiewicz, Adam Ursel i Jan Wageman) nie oszczędzał i pędził od świtu do zmroku nieraz w ruinę bez względu na wszystko. Zaharowani, osmołeni i zakurzeni wpadaliśmy na moment do budynku Delegatury Ministerstwa Oświaty, by coś zagryźć.

WYPEŁNIAJĄ SIĘ MAGAZYNY I tak dzień w dzień setki, tysiące a później dziesiątki a nawet i setki tysięcy książek wypełniały

magazyny popularnego „Komerzban-ku” i „Eichborna”.

Trzeba zaznaczyć, poza bibliotekarskim entuzjazmem i umiłowaniem książki przyszedł i improwizacja, wypadek w nieznanym i ustawiczna niespodzianka porzywały nas.

Wszak dzień w dzień obejmowaliśmy w polskie posiadanie dziesiątki wspaniałych bibliotek naukowych — gorączkowo przerzucano się z ręki do ręki wspaniałe wydawnictwa, książki, starodruki, luksusowe albumy, — prawdziwe cuda biblioteczne.

Sztab dyrektora Knota, stosownie do wymagań szefa, miał za ambicję uratować wszystkie dobra kulturalne z zakresu bibliotecznego i zdać się zadanie to wypełnił, a co najważniejsze, że zasoby te zgromadzone w jednym miejscu. Dzięki temu księgozbiór Biblioteki Uniwersyteckiej będzie ilościowo i jakościowo jednym z najpoważniejszych w całej Polsce. Czeka jednak wszystkich pracowników wielki trud uporządkowania i opisania bibliograficznego tych zasobów.

### KAPRYŚNA DEKAWKA

Energia i zmysł organizacyjny Dyrektora Biblioteki i współpraca szefa Transportu Delegatury Dra. Edwarda Zubika udziały się wspólnymi i zachęcały do pracy.

Och, ten transport — należy mu się osobny rozdział w historii tych czasów. Z jakimż rozrzewieniem go

wspominamy — te różnorodne warkuły wydobywane z ruin i zastawiane do transportu. Ież wdzieku: uroku miała nasza nieśmiertelna, w naszych wspomnieniach, słynna „hulajnoga” czyli trzykotłowa deka-wka albo ów potwórny i narowisty „gagenerator”. Dekawka była, jako rodzaj niewieści, zwodna i kapryśna. Ież nam nerwów pożarła — otępił się na złamanie karku, bo tam już jakąś ceną orientalistykę szabrują — a tu trach, trr — i stop, i tak na kilka godzin. Ale zato gdy się dojechało, to tej przygody uginał się od ciężaru. Później przybyły dumne nowe Dodge, ale wtedy już myślimy najgorsze i najtrudniejsze odróżbili. Dodge poszły w teren poza wrocławski, bo Niemcy największe skarby biblioteczne poukrywali po zamkach i pałacach. Jechało się na nową przygodę, o której można by jeszcze całe tomy spisać. Przygoda ta miała nowy urok — poznawaliśmy piękno ziemi Dolnośląskiej. Wpadało się w jary, kotłiny na szczyty, do ruin, zamków, pałaców, starych wież, spichrzów, w lochy i piwnice, bo tam właśnie poukrywano zbiory niemieckiej Biblioteki Uniwersyteckiej z Wrocławia. Czar kraju i przyrody oszałamiał i zachwycał. Wracaliśmy z łupami szczęśliwi i orzeźwieni.

KONIEC WIELKIEJ PRZYGODY Powoli okres przygody, poszukiwań, rewindykacji dobiegał końca.

Biblioteka Uniwersytecka stopniowo wkracza w okres stabilizacji i normalizacji życia bibliotecznego. Przepisy normują też prace biblioteczne; i w tym właśnie okresie poczynają napiwać do Bibliotek nowi pracownicy, innego nieco typu, ludzie biblioteczni, którzy przejmują uratowane dobra i zaprowadzają w tym gorączkowo gromadzonym zasobie ład i porządek biblioteczny. by jak najszybciej udostępnić to wszystko naukowcom i studentom.

Sztab rozprasa się. Niektórzy obejmują kierownictwa pawnych dzieł, które trzeba od podstaw organizować, a co wymaga inicjatywy i rozmachu.

Okres przygody i improwizacji pozostał jednak jako piękne i rzewne wspomnienie, które nas na stałe wiąże z Biblioteką, bo każdy jej dział jest nam bliski i drogi. Wszak ciągle tam napotykam nasze dobre znajome książki, z których niejedną wydobyci się z pyłu i kurzu, wyrwało się z ręki szabrownikom, od pasywu osnia czy niszczonej wilgoci. Dziś odkurzone, ogładzone opisane zostały ustawione, peczolowita ręką bibliotekarza na półce bibliotecznej i tam oczekiwane będą aż jakaś ciekawa ręka sięgnie po nie, by wzdobyć z tych treści nową wiedzę, nową wiadomość o przastarych Prastach, Polakach i polskości na tej pięknej i czarownej ziemi.



# POLSKA STRAŻ PRZEDNIA

## w płonącym Wrocławiu

W chwili gdy we Wrocławiu toczyły się jeszcze zaciekle walki i miasto stało w płomieniach — na przedmieściu nadodrzańskiej Stolicy — wykwił już sztandar polski.

Wywiesiła go pierwsza ekipa polska, jadąca z Krakowa z pierwszym prezydentem Wrocławia dr. Bolesławem Drobnerem na czele, którego imię, historia na zawsze połączyła z naszym miastem.

Nad Odrą zjawiała się nasza straż przednia, by objąć w powrotne władanie **g r ó d p i a s t o w s k i**.

Dnia 14 marca 1945 mianował mnie Rząd prezydentem miasta Wrocławia. Poza nominacją nie otrzymałem żadnej instrukcji; trzeba było iść na głęboką wodę i nauczyć się pływać. Kiedy prasa umieściła wzmiankę o nominacji, zwróciło się natychmiast sporo ludzi, przeważnie robotników, szoferów, dwóch inżynierów (inż. Kuligowski i ś.p. inż. Seyfert), jeden lekarz (dr. Czarnecki), przyjaciel mój St. Podgórski, sekretarka redakcji „Naprzodu“ M. Jeleniowa, no i w kilka osób trzeba było montować krakowską „ekipę“. Szukaliśmy ludzi zdecydowanych, nie wahających się i w paru dniach mieliśmy już sporą paczkę entuzjastów. Zgłosił się natychmiast Rektor Kulczyński i zgłosił drugą paczkę lwowiaków, którzy chcieli uruchomić. Uniwersytet i Politechnikę.

Wszyscy razem i każdy z nas z osobna wiedział, że Wrocław jeszcze nie jest zdobyty, że Czerwona Armia walczy z hordą hitlerowską o każde piętro, o każdy dom, że miasto się pali. Było nie było — jedziemy. Wrocław musi być nasz!

### Sztandar Polski nad Odrą

Przygotowaliśmy trzy „transze“, — wszystkiego było nas razem niecała setka. Wiedziałem, że mój partyjny przyjaciel Piaskowski wybiera się też na Dolny Śląsk, ale zanim zdążyłem się z nim porozumieć, przyszedł nakaz wyjazdu pod Wrocław. Wyjechaliśmy więc dnia 13 kwietnia 1945, w piątek; było nas bez milicji, nie najlepiej dobranej, 13 szaleńców, a może straceńców... Pierwsza ekipa była zmontowana. Dalsze czekały na wiadomości, jakie im przesyłamy.

Kiedy przejeżdżaliśmy Odrę, przybiliśmy na moście Orła Białego jako symbol przejęcia władzy naszej na Dolnym Śląsku. Dojechaliśmy do miasteczka Kąty (Kanth) i wobec nielicznej ludności niemieckiej wywiesiliśmy Sztandar Państwowy.

Pierwsza ekipa wiedziała bardzo dobrze, że tego sztandaru nie zdejmie już żadna moc.

Wyruszyliśmy nazajutrz do palącego się Wrocławia. Dojechaliśmy tylko do Placu Powstańców Śląskich (placu Hindenburga). Dalej już nie pozwalało jechać Dowództwo Czerwonej Armii. Nad Wrocławem unosiły się chmury dymu. Powietrze było pełne wybuchów min, granatów i dymu.

W porozumieniu z Komendą Wojskową wróciliśmy wzbogaceni o wiele ścisłych wiadomości, zreferowałem na publicznym wiecu sytuację we Wrocławiu i mimo to, że Wrocław jeszcze się palił i że nie wiadomo było, kiedy będzie zdobyty, zgłosiło się do biura „Zarządu miasta Wrocławia“ w Krakowie moc ludzi zdecydowanych do wyjazdu „na stałe“.

### Wrocławska „Arka Noego“

Dnia 9 maja wyruszyło już kilkadziesiąt osób, wśród nich szereg wybitnych inżynierów, lekarzy, urzędników administracyjnych, kucharzy, piekarzy, profesorów uniwersyteku, hotelarzy, jednym słowem: „Wrocławska Arka Noego“.

łem się, że właśnie usuwa się ich nieraz z mieszkań, odbiera się im meble...

### Przez ogień na Ziemię Odzyskaną

Martwię się, że Polska nie jest im dość wdzięczna. Przrzekałem każdemu z osobna, że będą mieli wille z ogródkami, dostaną meble wygodne, że będą mieli pracy aż zadość, że sprowadzą rodziny. Były przecież chwile, gdy nikt nie chciał jechać do Wrocławia, „bo to przecież nie pozostanie przy nas“, „bo to przecież zabiorą Niemcy“ — a pionierzy nie dbali o nic, szli na przelaj, przez ogień do ziem powracających w nasze posiadanie. Kilku pionierów natknęło się na miny, zginęło kilka osób, a oni szli dalej. Rwali się do pracy dla Polski.

Niewielki procent pierwszych pionierów zmanierował się, zmylił swe drogi i szukał złotego cielca. Większość to ideowcy! Byli ideowcami, pozostali nimi.

Losy rzuciły mnie do innej pracy. Odszedłem na inny posterunek. Szczyć się jednak tym, że byłem pierwszym prezydentem miasta Wrocławia, że z pionierami razem



DR. BOLESŁAW DROBNER  
Poseł na Sejm Ustawodawczy,  
Wiceprezes Rady Naczelnej P.P.S.  
Pierwszy Prezydent m. Wrocławia

szedłem na przelaj, przez ogień na nasze Ziemię Odzyskaną!

Dr Antoni Knot

## Plon pionierskiej grupy

### Naukowo-Kulturalnej

Dwuletni okres nie daje jeszcze należytej perspektywy historycznej dla zupełnie bezstronnej oceny przeszłych wydarzeń, — niemniej pozwala choćby przez kronikarskie zestawienie faktów dokonać spokojnie obrachunku i przeprowadzić ocenę tego, co dwa lata temu miało miejsce.

Tempo wydarzeń wrocławskich w maju 1945 roku było gorączkowe; wszystko odbywało się w atmosferze wysokiego napięcia, tak, że nawet podówczas z boku stojący obserwatorzy po największej części ulegali nastrojom chwili, co się przewijało w ich reportażowych impresjach. I to co wówczas na świeżo o ludziach wrocławskich napisano ma wartość dokumentu chwili. Specjalne warunki w jakich się wtedy żyło i pracowało muszą być przy ocenie wzięte pod uwagę — zwykłej miary do tych czasów przyłożyć nie można.

Jakże odległym wydaje się maj

1945 r., gdy patrzymy na dzisiejszą rzeczywistość Wrocławia! Dzisiaj Uniwersytet i Politechnika, zjednoczone we Wrocławiu w jedną Uczelnię pod berłem jednego Rektora są żywym, pulsującym organizmem. Wiemy, że Uniwersytet Wrocławski wypełnił stolicę Dolnego Śląska pełną treścią bogatego życia naukowo-kulturalnego. Inicjatywa ruchu kulturalnego wychodzi od ludzi, związanych z Uniwersyte-tem. Bez wyższych uczelni Wrocław nie mógłby być przy swoich ruinach stolicą województwa. I tylko fakt istnienia Uniwersytetu i Politechniki był tutaj decydującym momentem. Stolicą Dolnego Śląska, pozbawionego wyższych uczelni, mogłoby być z powodzeniem każde inne większe niezniszczone miasto na naszym terenie.

Jaką rolę odegrali ci pierwsi

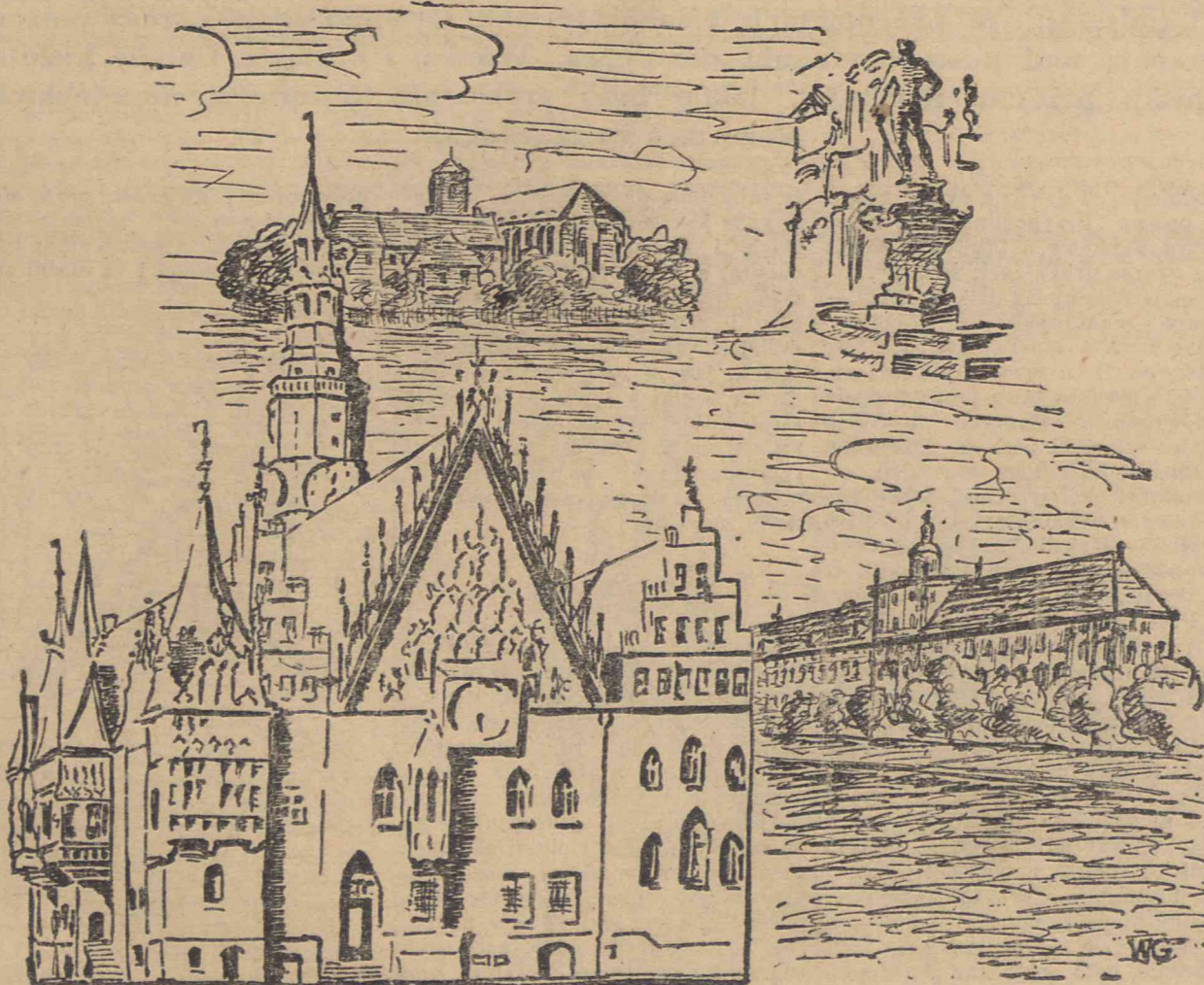
przedstawiciele uniwersytetu i instytucji kulturalnych, którzy pod przewodnictwem Rektora Kulczyńskiego przybyli tutaj przed dwoma laty do Wrocławia w dwa dni po kapitulacji miasta? — Była to grupa niewielka — w sumie dwadzieścia sześć osób, do których przylączyło się jeszcze kilku pracowników uniwersyteckich, przebywających we Wrocławiu na zsyłce przymusowej. Jaki obraz przedstawiało miasto, które po czteromiesięcznym oblężeniu, rozpaczliwie bronione, świeżo kapitulowało, wiadomo powszechnie. Ta garstka ludzi miała za zadanie zająć, opanować i zabezpieczyć całość majątku Uniwersytetu i Politechniki. Powzięta przez Rektora Kulczyńskiego decyzja wyjazdu do Wrocławia w pierwszym rzucie, razem z pierwszą grupą Władz Miejskich, była jak najtrafniejsza. Gru-

pa naukowa przyjechała w sam czas. Nawet niewielkie w tych czasach opóźnienie, jak to na miejscu stwierdzono, mogło być w skutkach nieobliczalnie szkodliwe. Fakt zatem, że ten majątek w budynkach i zbiorach naukowych chwytno poprostu na gorąco, stanowi największą grupę naukową zastępcę Rektora polskiego Uniwersytetu o bejnował władztwo naukowe nad miastem w tym samym momencie, kiedy pierwszy prezydent w imieniu Rządu Rzeczypospolitej przejmował władzę nad miastem. Nauka nie spóźniła się ani na chwilę.

Uchwycony i zabezpieczony przez pierwszą grupę majątek, silnie nadzarnięty i zniszczony działaniami wojennymi i akcją ewakuacyjną stał się bazą pod budowę Uczelni. Z jakimi wtedy trudnościami walczone o tym też powszechnie wiadomo. Największym atoli brakiem wtedy był brak ludzi. Ci którzy byli musieli się w jakiś cudowny niemal sposób uwielokrotnić, by zadanom i potrzebom chwili podołać. Odsiecz ludzka z Kraju nadchodziła bardzo powoli. Na ogół, ci którzy by się tutaj wtedy przydadali zachowywali pozycję wyciekającą. Grupa wykonała zatem, wysiłkiem, przechodzącym stokrotnie miarę zwykłą, robotę „najbrudniejszą“, najbardziej może niewdzięczną, ale zarazem najbardziej zasadniczą. Wyciągnięto z ruin, z błota i pyłu, z pożaru i zgłiszcz zwały pod organizację Uczelni.

Ten pierwszy pionierski, tak niezwykle okres narodzin polskiego Uniwersytetu i Politechniki wycisnął niezatarte znamię na Uczelni Wrocławskiej, które go tak bardzo różni od innych ośrodków naukowych w Kraju. Panna tutaj „inna atmosfera, inne nastroje“. A jest to wytworem owego trwającego zresztą w innej formie i po dzień dzisiejszy ładu pionierskiego. Życie narzuciło Uczelni wrocławskiej nowe formy organizacyjne, które, powitane z pewną nieufnością w Kraju, zdały tutaj całkowicie egzamin. Połączenie Uniwersytetu z Politechniką, możliwość wzajemnej, przenikającej się nawzajem współpracy naukowej i dydaktycznej przynosi bardzo znaczne korzyści. W obrębie wrocławskiej Uczelni przez połączenie pokrewnych katedr i zakładów powstają Instytuty z tendencją ześrodkowania i scalenia w ich obrębie pracy naukowej. Kto

(dalszy ciąg na str. 10-cj)





# UCZENI WROCLAWSKY PRACUJA

Sześć lat straszliwej w dziejach świata wojny wyrzuciło niepowetowane straty w nauce polskiej. Setki najwybitniejszych polskich uczonych zginęło w obozach koncentracyjnych, więzieniach, od kul gestapowców, z głodu i nędzy. Jedynie nielicznej garstce uczonych udało się przetrwać te ciężkie, koszmarnie lata, aby dziś w wolnej demokratycznej Polsce kontynuować znowu swe prace naukowe.

I oto w zacisznych gabinetach, laboratoriach i pracowniach uczonych rozpoczęła się praca twórcza, naukowa. Na gruzach niemieckiej „nauki”, w ognisku kultury polskiej we Wrocławiu rozkwitło znowu bujne życie. Z najodleglejszych miast Polski przybyło tu setki uczonych, by podjąć pracę od nowa, nie raz od podstaw.

## Astronomia

A oto szereg wypowiedzi najwybitniejszych uczonych wrocławskich na temat prac, jakie dotychczas prowadzili i obecnie prowadzą.

Dyrektor największego w Polsce Obserwatorium Astronomicznego we Wrocławiu, prof. dr. Eugeniusz Rybka, pracuje obecnie nad jasnością (fotometria) gwiazd celem ułożenia katalogów, które zawierać będą wielkości gwiazdowe w 2-ech różnych dziedzinach widma (żółtym i czerwonym). Materiał ten przywiózł prof. Rybka ze Lwowa.

W lecie ub. roku prof. Rybka rozpoczął systematyczne obserwacje gwiazd podwójnych głównym reflektorem obserwatorium wrocławskiego. Napisał dotychczas ok. 40 rozpraw naukowych, z których „katalog jasności gwiazdowych” wydany został w 1938 roku. Jego prace z ostatniego dziesięciolecia dotyczą fotometrii fotograficznej gwiazd, gwiazd zmiennych oraz obserwacji zakryć gwiazd przez księżyc. Prof. Rybka pracuje przez 25 lat, t.j. od 1921 roku bez przerwy, a od października 1945 r. w Obserwatorium Astronomicznym we Wrocławiu. W pracach tych pomaga mu personel naukowy, składający się z siedmiu osób, w tym 2-ech doktorów astronomii.

## Geografia

Niezmiernie ciekawe są wypowiedzi prof. dra Juliana Czyżewskiego. Prof. Czyżewski był przez szereg lat asystentem prof. Romera, poczem wyjechał za granicę, celem zapoznania się z innymi środkami pracy w zakresie geografii. Przebywał w Niemczech, we Francji, poczem brał udział w wyprawie naukowej do Szwecji i Norwegii, prowadzonej przez znakomity tego badacza na polu geografii fizycznej, prof. Oehlmana ze Sztokholmu.

W roku 1930 zwiedza pustynne i stepowe krajobrazy w Afryce Północnej, poznaje Włochy i Jugosławię, po czym wraca do kraju, współpracując nad przygotowaniem prac Instytutu Geograficznego we Lwowie na Międzynarodowy Kongres Geograficzny w Paryżu.

Podczas wojny prof. Czyżewski pracuje przez jakiś czas nad bibliografią roślin krajowych, w sezonie zaś letnim współpracuje z grupą geologiczną w rejonie Słobody Rungorskiej. W lecie 1945 r. przybył do Wrocławia przedstawiając plan organizacji nauki geografii, odbudowy doszczętnie spalonego Instytutu Geograficznego oraz plan uczynienia Wrocławia ośrodkiem pracy twórczej na polu kartografii syntetycznej. Obecnie Instytut Geograficzny we Wrocławiu należy, obok Poznania i Krakowa, do najbardziej bogato wyposażonych instytutów geograficznych w Polsce.

Prof. Czyżewski prawie ćwierć wieku poświęcił na studia szczegółowe nad Polską południowo-wschodnią, publikując około 20 prac i komunikatów naukowych na ten temat.

Trudno mu samemu mówić o swych pracach. Może dwie spośród nich — jak powiada — zasługują na wyróżnienie z metodycznego punktu widzenia. Prace te, to studium „Z historii doliny Dniestru”, jako przykład zastosowania metody indukcyjnej i studium, p.t. „Z fizjografii Pokucia”, jako przykład zastosowania w geografii metody dedukcyjnej. Prof. Czyżewski wspomina też prace z zakre-

su geografii gospodarczej, p.t. „Obroty roczne przedsiębiorstw jako podstawa geograficzno-gospodarczej charakterystyki kraju”. Myśli, że to jest jedyna droga porównywalnego traktowania najróż-

## Przyroda

O piętro wyżej mają swoje pracownie prof. M. Klimaszewski z Wydziału Przyrodniczego oraz prof. B. Olszewicz z Wydziału Humanistycznego. Pierwszy jest dzisiaj najlepszym w Polsce znawcą rzeźby gór polskich — fliszowych Karpat Zachodnich i Sudetów. Drugi jest, obok prof. Romera, najlepszym znawcą polskiej kartografii historycznej. Zdaje się jednak,

głii, Niemiec, oraz Stanów Zjednoczonych A. P.

Prof. Sembratowi pomaga dzielnie prof. dr. Józef Heller (Kierownik Zakładu Fizjologii Zwierząt), który uzyskał bardzo cenne rezultaty, dotyczące fizjologii owadów, przeprowadzając część eksperymentów w Państwowym Zakładzie Higieny we Wrocławiu.

Prof. dr. Jan Noskiewicz, kierownik Zakładu Systematyki Zwierząt i Zoogeografii, entomolog, jest wybitnym znawcą bonków i muchówek. Mimo krótkiego pobytu we Wrocławiu, potrafił już stwierdzić kilka nieznanych dotychczas na Śląsku gatunków owadów. Kierownik Zakładu Anatomii

go u rozmaitych gromad kręgowców, prof. dr. Gustaw Poluszynski, kierownik Zakładu Zoologii i Parazytologii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, będąc wybitnym znawcą zagadnień genetycznych i cytologicznych oraz autorem klasycznej pracy z zakresu cytologii, przeprowadza m. in. ciekawe badania niecierci pasożytniczych.

## Geologia

Prof. dr. Stanisław Tołpa pracuje obecnie nad dyluwium okolic Kalisza. Bogaty materiał kopalny, który odkrył, pozwoli mu na ustalenie zmian, którym podlegały Ziemia Zachodnie Polski w epoce lodowcowej. Ponadto opracowuje zagadnienie łąk i pastwisk na Ziemiach Zachodnich, ze specjalnym uwzględnieniem Dolnego Śląska. Te ostatnie badania wiąże się ze sprawą wykrycia sposobów i środków dla podniesienia wydajności tutejszych użytków zielonych.

Zakłady wydziału rolniczego Uniwersytetu i Politechniki wrocławskiej pracują znowu nad akcją planowego i racjonalnego pokrycia siecią sadów Dolnego Śląska, opracowaniem pod względem geologicznym „rejonu doświadczalnego” województwa wrocławskiego, nad zagadnieniem walki ze rdzami zbożowymi na terenie Dolnego Śląska, problemem chorób wirusowych ziemniaków i buraków cukrowych oraz opracowaniem chemicznych metod tępienia chwastów. Nie sposób wprost wyliczyć choć w części zagadnień, nad którymi pracują poszczególne zakłady wydziału rolnego. Zasięg ich prac jest olbrzymi, obliczony na lata.

Niezmiernie ciekawe są badania przeprowadzane nad żywnością gleb Ziemi Zachodnich, prace nad organicznym nawożeniem na Dolnym Śląsku, genetyką ziemniaka, selekcją szeregu roślin uprawnych, warunkami w jeziorach i stawach, tempem wzrostu ryb, rozpoznawaniem chorób ryb, organizacją pracy w rolnictwie na terenach zachodnich i t.p.

Z zakładami wydziału rolnego współpracuje ściśle Zakład Hodowli doświadczalnej i genetyki zwierząt, zajmujący się teoretycznym i praktycznym zagadnieniem inseminacji zwierząt i zakład szczegółowej hodowli i żywienia zwierząt domowych, pracujący nad drogami wyjścia z impasu hodowli zwierząt na Śląsku oraz zajmujący się rozwojem obecnym hodowli zwierząt na Ziemiach Odzyskanych.

Ogrom prac, jakie się tu dokonują, świadczy najlepiej, że nauka polska, która tak bujnie rozkwitła w tej piastowskiej stolicy Dolnego Śląska — Wrocławiu — w zupełności zdała egzamin. TEO.



Uniwersytet wrocławski

**Wrocław miasto czterech wyższych uczelni stał się ważnym ośrodkiem nauki polskiej. W pracowniach i laboratoriach wrocławskich uczeni polscy pracują nad postępowaniem nauki dla dobra Wiedzy i Postępu. Dawne kuźnie spisku przeciw ludzkości, jakim były pracownie uczonych niemieckich służą dziś dziełu Pokoju**

rodniejszych dziedzin życia gospodarczego. Przypomina swój komunikat naukowy o „wpływie morza na proces urbanizacji świata”.

— Dysponujemy dziś — mówi — staro-piastowskim odcinkiem wybrzeża. Ku morzu potrzeba iść planowo i wytrwale, jak szli anglosasi zwartą ławą przez stulecia od wybrzeża Atlantyku do Wielkich Jezior, od nich do Pacyfiku. Tam nad Bałtykiem, w rzadko zaludnionej okolicy, znajduje się Kołobrzeg, — obok Krakowa i Wrocławia — siedziba najstarszego biskupstwa podległego Metropolii w Gnieźnie.

Prof. Czyżewski jest przekonany, że Polska nada nowe oblicze swojemu odcinkowi wybrzeża, owo zaś morze surowe, wpłynie poważnie na psychiczną stronę Polaków.

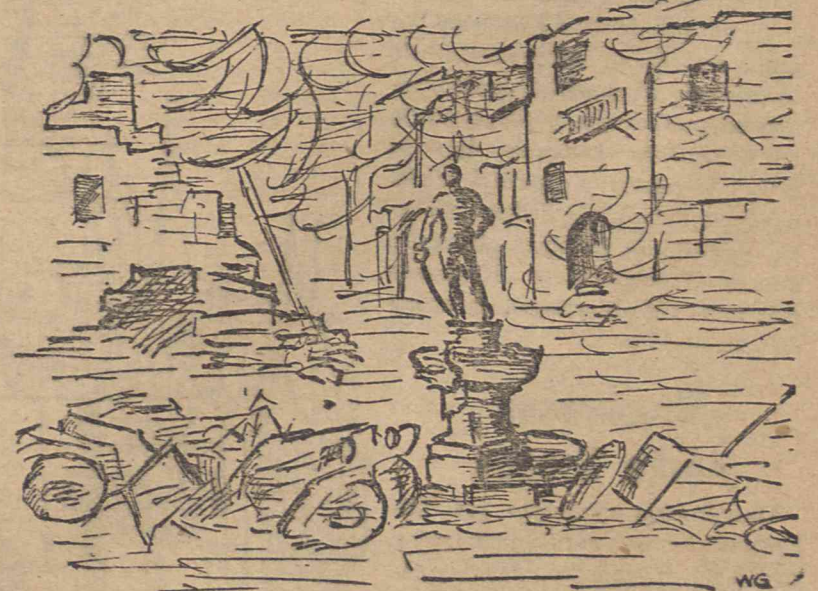
Poza pracami naukowymi poświęcił się prof. Czyżewski również i pracy dydaktycznej, głównie na kursach dokształcających dla nauczycieli geografii. Około półtora tysiąca nauczycieli geografii, pracujących w szkole powszechnej na całym obszarze Polski, przeszło te kursy i są jego uczniami. Obecnie, jako redaktor „Czasopis-

ze tajemnica najgłębsza i najciekawsza jest gdzieś indziej — w umysłach i sercach tych, którzy nadchodzą, a ma prof. Czyżewski na myśli ten dzielny zespół asystentów i studentów. Może przynajmniej ci najmłodszy nie będą musieli tak, jak my, zapisać z powodu dwóch wielkich wojen na koncie strat kilkunastu lat życia, niewyżytkanych w pełni dla rozwoju kultury narodowej największej w normalnych warunkach produktywności umysłowej.

## Zoologia

Kierownik Instytutu oraz Zakładu Zoologii, Dziekan Wydziału Nauk Przyrodniczych, prof. dr. Kazimierz Sembrat, zajmuje się m.in. morfogenetyczną rolą gruczołów wewnętrznego wydzielenia oraz pracuje dziś w dziedzinie zoologii eksperymentalnej. Interesujące go zagadnienia z embriologii eksperymentalnej i opisowej oraz badania cytologiczne, przeprowadzał prof. Sembrat, nie tylko w kraju, ale i w pracowniach instytucji zagranicznych Francji, Belgii, An-

Porównawczej Zwierząt, prof. dr. Kazimierz Szarski, zajmuje się przede wszystkim rozwojem układu moczopłciowego i wydalniczego



Plac Uniwersytecki.



# Ostatnie tygodnie Wrocławia

Patrzmy dziś na dzwignący się z gruzów Wrocław. Piękne to miasto zniszczył szal teutoński, który burząc i paląc Wrocław stwierdzał, że Niemcy po wsze czasy wyrzekli się powrotu nad Odrę, paląc za sobą wszelkie mosty. Oto jak wyglądały ostatnie dni „niemieckiego Wrocławia“:

## Jadą wozy z uciekinierami

Cały świat był objęty pożogą wojenną. W ostatnim okresie zmagani dziejowych, w Rzeszy nie było laskotka, który by nie był dotknięty zgrozą nalołów napowietrznych i hukami armat. Jedyny Wrocław był na pozór spokojnie, niby zacisną wyspa wśród rozhukanych fal.

Sytuacja się jednak zmieniła w pierwszych dniach stycznia 1945 r. Równocześnie z nieskontrolowanymi wiadomościami o zbliżaniu się frontu, zapelniały się ulice uciekinierami. Długie kolumny wozów, ciągnęły po zaśmieconych ulicach, na nich widziałeś całą nędzę ludzi bezdomnych — dzieci, opatulane kocami, wśród tobołów sprzętu domowego, potrzebnego i niepotrzebnego, kobiety zmęczone, mężczyźni o ponurych twarzach. Samo przez się nasuwało się porównanie z odwrotem Napoleona spod Moskwy.

„Zbliża się koniec udręki wojennej!“ nadzieja błysnęła oczom Wrocławian. Ta nadzieja jednak — była przytłumiona obawą przed czujną organizacją wroga, który likwidował bezmiłosiernie każdy ślady, nawet niechęć okazującą.

## Evakuacja przy huku dział

Niemcy nie pozostawiali czasu do rozmyślań: rozpoczęto ewakuację ludności cywilnej miasta na wielką skalę. Wrocław liczył w czasach normalnych 650 tys. mieszkańców. W ostatnim roku wojny, na skutek dopływu „wybombowanej“ nalołami ludności z Rzeszy, liczba powiększyła się do miliona. Działy się rzeczy rozpaczliwe: kolumny uciekinierów wysyłano pieszo, wyznaczając im punkty zbornie w Legnicy, w Zgorzeliu, w Wałbrzychu, lub jeszcze dalej na Zachodzie.

Temperatura obniżyła się do 18 — 20 st. Celsjusza. Dzieci i słabsze lub chore osoby ginęły od mrozu i wycieńczenia.

Inne grupy uchodzących miały do dyspozycji samochody najróżnorodniejszych postaci i proveniencji. Trzecia grupa otrzymywała pociągi. Wysyłano w dzień i w noc oddziały SS-manów, SA-manów i innych manów do mieszkań i pod groźbą użycia broni wyrzucano zwłaszcza kobiety i dzieci. Każdy wyczuwał, że dowództwo wojskowe jest niezdecydowane. Dowiadujemy się, że komendant miasta generał Koch Espach ustępuje ze swego stanowiska. Jego następcą mianowano gen. Krause. Ukazują się afisze na murach: „Miasto Wrocław, ogłoszone twierdzą, będzie stawiało opór do ostatniej kropli krwi. Ludność cywilna niech opuszcza miasto zanim będzie zapóźno“. Publiczność dowiedziała się, że generał Krause sprawa dził do miasta swoją żonę, która zamieszkała w hotelu Monopol. A więc chyba nie dojdzie do ostateczności! I opór ludności cywilnej wobec ewakuacji przybiera na sile.

Tymczasem nie doceniano determinacji „partyjników“, nie doceniano „p. Gauleitera Hankego“. Z chwila, gdy pierwsze pociski artylerii sowieckiej padły na północne przedmieścia, gdy urzędy i banki, opuszczają miasto, a na placach, w ogrodach, na plantach, palą się akta, wiceprezydent miasta, który, rozumiejąc beznadziejność sytuacji, wysuwa myśl kapitulacji, ginie pod kulami wojskowego plutonu egzekucyjnego na rynku wrocławskim. Generał Krause ratuje od tego samego losu tylko jego stan zdrowia. Nowy komendant — jeszcze ostrzejsze zarządzenia! Egzekucje odbywają się codziennie. Następuje ewakuacja kiera katolickiego. Sędziwy, blisko 90-letni

kardynał Bertram opuszcza miasto.

## obrazki z oblężenia miasta w 1945 roku

„Partyjnicy“ zamienili się przez noc na żołnierzy Volksssturmu, z tym, aby się łatwiej ukrywać. Teraz już każdy wiedział, że nie ma ratunku.

W początkach lutego twierdza

Wrocław była otoczona ze wszystkich stron.

## Dwie walki

Wojskowe komisje rekrutacyjne pracują bez przerwy. Już nie chodzi o to, czy dany mężczyzna jest zdrowy, chodzi tylko o to, czy może unieść karabin. Kobiety i dzieci, od lat 12-tu, dziewczęta od lat 13-tu zebrane w drużyny robocze, wysła się na front, gdzie budują barykady. Bez pardonu bierze się wszystko, co wpada w ręce, jako materiał zdalny na te cele: płoty, tramwaje, meble, kamienie brukowe, drzewa z plantacji, pomniki z cementarzy, ba nawet worki zboża lub mąki, wszystko służy temu celowi.

Na peryferiach tymczasem toczy się zacięta walka. Po dłuższym czasie Niemcy tracą lotnisko, Fabryki Linke - Hofmanna zamieniają się powoli w kupę gruzów. Następne ulice obrońcy niszczą systematycznie, wysyłają do nich drużyny robocze, oblewają benzyną i palą.

Bombardowanie systematyczne nawiedza tę, to inną dzielnicę, naloły powietrzne uzupełniają dzieło zniszczenia, ranni nie znajdują już pomieszczenia w szpitalach.

## Plac Grunwaldzki

Tam, gdzie dziś leży Plac Grunwaldzki, była kiedyś piękna dzielnica, bardzo bogata. Po utracie lotniska Niemcy postanowili tam właśnie urządzić plac, z którego by mogły startować ich już i tak

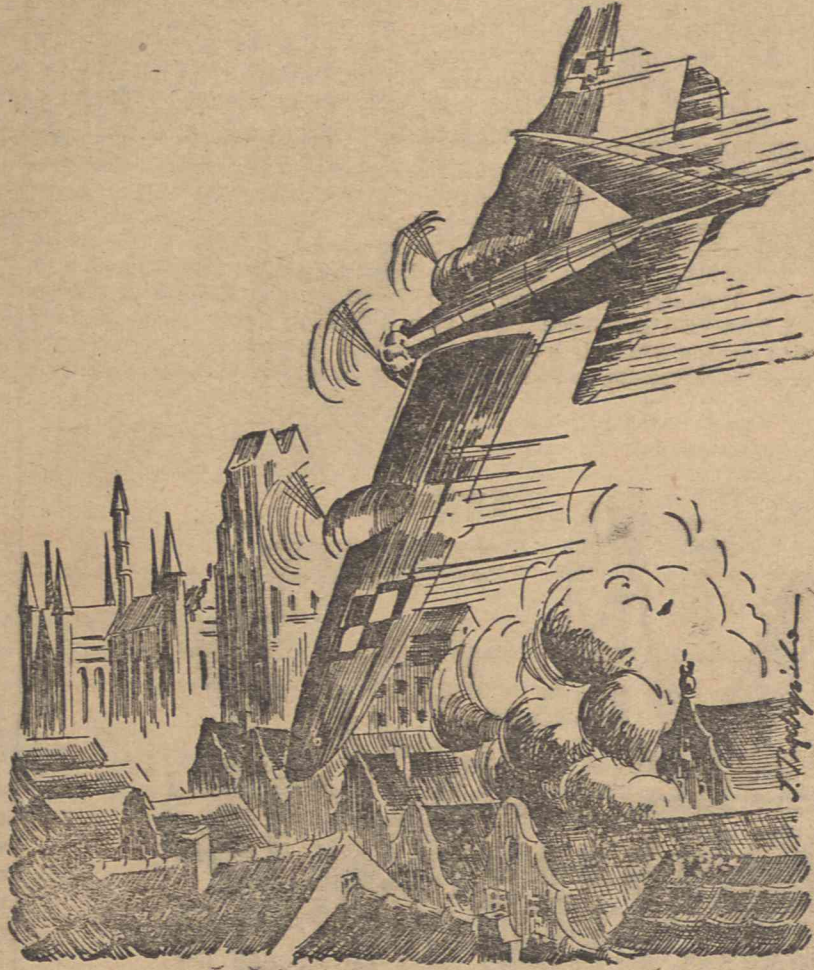
liczne samoloty. Po zniszczeniu kilkunastu ulic, ludność cywilna, pod groźbą broni palnej, pracowała nad wyrównaniem płaszczyzny startowej. Lotnisko było gotowe na kilka dni przed kapitulacją.

## Krwawa Wielkanoc

Tymczasem pierścień wojsk otaczających twierdzę ścieśniał się z dnia na dzień. Miasto płonęło. Ale „pan Gauleiter chciał żyć jeszcze“. Komendant miasta, był według jego zdania, za mało energiczny, więc musiał ustąpić miejsca generałowi Niehoffowi. Zamieszkali ci panowie w podziemiach Biblioteki Uniwersyteckiej obok kościoła Matki Boskiej na Piasku, zbudowanego przez naszego ziomka Piotra Własia. Lecz i tam dosięgła ich „ręka“ sowieckich sił powietrznych. W Wielki Piątek od rana sunęła jedna formacja za drugą nad miastem, siejąc ogień i spustoszenie. W pierwsze i drugie święto Wielkanocne trwały naloły nieustannie.

## Ostatnie dni twierdzy

Dyscyplina żołdactwa zaczęła się rozluźniać. Kradzieże, terror, gwałty nie ustawały. Ludność spychano do centrum miasta lub na Sępólno, Karłowice. Co raz częściej widziano na ulicach trupy ludzkie i końskie, aż ostatecznie dzień 8 maja, dzień św. Stanisława, majowy dzień słoneczny otworzył nam podwoje do swobody i wolności.



## H. Łubieński

# Wyzwolenie Wrocławia

W końcu marca 1945 roku w naszym dowództwie Czerwonej Armii zapadła decyzja ataku na Wrocław, wraz z Armią Polską.

W połowie kwietnia VI Dywizja Łużycka zajmuje odcinek między Margareten - Muehle a deutsche Hammer, podczas gdy druga armia pod dowództwem generała Świerczewskiego, w ścisłym kontakcie z armią I Frontu Ukraińskiego, pozostającego pod dowództwem Marszałka Koniewa walczą nad Odrą. Naszą. Celem akcji tych obu armii było powstrzymanie przedarcia się posilków SS, zdążających z Berlina na Wrocław. Odsiecz Niemcom się nie udeśli i ponieśli przy tej sposobności duże straty.

Na obronie Wrocławia Niemcom ogromnie zależało, gdyż Wrocław był bardzo ważnym węzłem kolejowym, wschodnim. Hitler wydał stanowczy rozkaz: „Bronić Wrocławia do ostatniej kropli krwi!“

i Niemcy z całą swą systematycznością poczynili już od dawna odpowiednie przygotowania obronne. Wrocław ogłosili twierdzą, sprowadzili tu wyborne siły SS-manów i Wehrmachtu, zebrano, ołbrzymie zapasy żywności, wystarczające na wyżywienie wojska i ludności cywilnej przynajmniej przez rok. W chwili odwrotu Niemcy chcieli wywieźć większą część żywności i wyładowali ją z magazynów na ulice, aby potem dalej przetransportować. Lecz nie zdążyli tego uczynić, a czołgi sowieckie i polskie w wielu miejscach musiały przedzierać się przez stosy worków cukru i mąki, przez zwaliska słoniny i konserw mięsnych.

Zgromadzono też bardzo wiele amunicji. Największy skład znajdował się w podziemiach katedry. Raz w czasie ataku lotniczego, padła bomba na katedrę i spowodowała straszliwy wybuch znajdującej się w podziemiach amunicji, co całkowicie zniszczyło wspaniałe wnętrza sta-

reś świątyni.

Tymczasem Armia Czerwona w niespodziewanym i błyskawicznym uderzeniu zaatakowała Wrocław od wschodu i zajęła Sępólno. Rozpoczęły się po raz pierwszy walki uliczne, walki zacięte o każdą ulicę, o każdy dom, o każde podwórko. Niemcy uciekając niszczyli i burzyli wszystko.

Z iście niemiecką systematycznością rozpoczęli planowe niszczenie i burzenie miasta. Po mieście jeździły auta z Hitlerjugend podkładające miny zegarowe, otwierając wszędzie przewody gazowe, oraz SS-mani, w czołgach i autach pancernych, z których rzucali bomby zapalające. Tak niszczyli dom za domem na wszystkich ulicach, pastwiąc się przede wszystkim na kościołach katolickich jako widomych dowodach posłokości tego miasta. Mieszkańcom domów pozostawiano zaledwie kwadrans

czasu na opuszczenie mieszkania. Jeżeli ktoś się spoźnił ginął wśród gruzów i ognia.

Działy się wprost dantejskie sceny. Morze płonieni unosiło się nad całym miastem, zewsząd rozlegał się huk bomb i granatów i wybuchy nien. potworny trzask walących się domów, jęki konających

Wielkie zdumienie ogarnęło żołnierzy Czerwonej i Polskiej Armii, gdy wkraczając do płonącego miasta, ujrzeli wylaniające się wśród ruin jakieś wynędzniałe, obdarte postacie, które z błyskiem radości w oczach witały wkraczające zwycięsko wojska. Byli to wywiezieni przymusowo z Polski robotnicy polscy, rozmieszczeni w licznych na terenie Wrocławia obozach pracy. Młodzi i silniejsi zgłosili się do wojska, wielu z nich zginęło w walce.

W śródmieściu na powitanie wojska polskiego wycięła ukryta w be-

tonowo sklepionych piwnicach garstka polskich autochtonów. Wznowił na ich wynędzniałych twarzach malowała się radość. Oto spełniły się ich długoletnie marzenia: wrogi okupant opuścił polski Wrocław. A mazurek Dąbrowskiego, odegrany przez polską orkiestrę wojskową wycisnął z ich oczu łzy wzruszenia. Takie same łzy wywołały zapewne przed laty u Polaków wrocławskich proporzycy ulanów gen. Dąbrowskiego, przeciągające w triumfalnym pochodzie przez Wrocław.

Ucichły pod wieczór walki na ulicach. Dopalały się jeszcze resztki niektórych budynków, wybuchaly czasem miny, a zdala poza miastem dochodził głuchy huk armat.

Na wieży częściowo tylko zniszczonego ratusza zabłysnął orzeł biały, prawowity dziedzic tych ziem, powiały sztandary o barwach polskich. Wrocław był wyzwolony...





# Sprzed dwóch lat i dwóch tygodni

*Atłósnik Wrocławia pisze z podróży do płonącego miasta. W walizce wiozę trzeci tom „Dziejów Śląska” Polskiej Akademii Umiejętności. Chciał jaknajprędzej stanąć w mieście Henryków, w mieście biskupów: Tomasza I i Nankiera, w mieście Władysława Jagiellończyka...*

Gdy autobus, gęsto napakowany picnierami obydwóch ekip operacyjnych, administracyjnej, mającej za zadanie tworzyć Zarząd Miejski miasta Wrocławia, i naukowej, stanowiący załazek przyszłego Uniwersytetu i Politechniki, w nocy z 23 na 29 maja wjeżdżał w granice Wrocławia, pierwszą oznaką, że zbliżamy się do celu, była łuna pożarów.

## Požary, wyrwy i... śpiew słowika

Podjechalismy prawie pod sam płonący dom. Żar ognia dochodził do nas. Nikt pożaru nie gasił. Na jezdni widać było duży lej. Łśnące kostki bruku odbijały małowato blaski ognia. Z trudem autobus, wpełzłszy na chodnik, ominął wyrwę. Potem zjechał na jezdnię ogolocołą z pokłacu kostek kamiennych suną po tej ziemi. Potem była barykada, którą jeszcze trudniej było ominąć. Za barykadą — znowu lej. Poszarpane, porozrzucane w nieładzie krawężniki, płyty chodnika i kostki bruku Drzewa, niektóre, posmalane i popalone, inne wręcz przeciwnie, prawem kontrastu, jakby akcentując ce swoją żywoność nadmierną ilością korony i mocnym zapachem liści. Rozległy się śpiewy słowików; gdzieś z oddala dochodziło szczekanie psa. Na któreś z barykad osłabnie utknęliśmy. Nie było przewodnika, nie mieliśmy planu miasta. Nie pozostawało nic innego, jak prze spać noc w autobusie do rana. Noc była gorąca i parna.

Wszystkie kamienice dokoła były opuszczone. Czarnymi otworami okien bez szyb, widocznymi w świetle księżycy, potwierdzały swoją bezpańskość.

## Marzenia

### i... rzeczywistość

Jechałem, by zobaczyć kościoły wrocławskie. Przypuszczałem, że są

pochruchotane, że wojna ich nie oszczędziła. W walizce wioziem trzeci tom „Dziejów Śląska” Polskiej Akademii Umiejętności, „dzie artykuł Gębarowicza miał być moim przewodnikiem po cudach pamiątek kultury polskiej. W marzeniach widziałem wyniosły ołtarz główny katedry, otoczony ambitem, ostre łuki niebotycznych filarów kościoła na Piasku, bogatą polichromię kościoła św. Barbary. Chciałem jak najprędzej stanąć w mieście Henryków, w mieście biskupów Tomasza I i Nankiera, w mieście Władysława Jagiellończyka, by oglądać pozostałe po nich relikty, głoszące wielkość polskiej kultury, tak dzisiaj już nie

liczne na terenach kraju, \*yjącego w stanie niemal permanentnej wojny.

Nazajutrz też po wszelkich formalnościach wybrałem się do kościoła węg — św. Krzyż, bez dachu, z ogromną dziurą między kryptami, bez grobowca, po którym pozostał jedynie ślad na podłodze, więc — Katedra, której zniszczenie przeszło wszelkie moje oczekiwania, więc — kościół N. Marii Panny na Piasku, jeszcze bardziej zniszczony, aniżeli katedra, więc — zupełnie wypalone małe kościółki: św. Marcina, św. św. Piotra i Pawła, św. Anny. Pierwszą pamiątką, którą znalazłem całą był portal romański u św. Marii Magdaleny. Zachowała się św. Elżbieta, na tomiasz spłonęła wewnątrz z bezcenną polichromią kościoła św. Barbary. W każdym prawie kościele (oprócz św. Elżbiety) chodziło się po zwalach kamieni i dachówek z których tu i ówdzie sterzały niedopalone krokwie. Zwaliska tworzyły gó

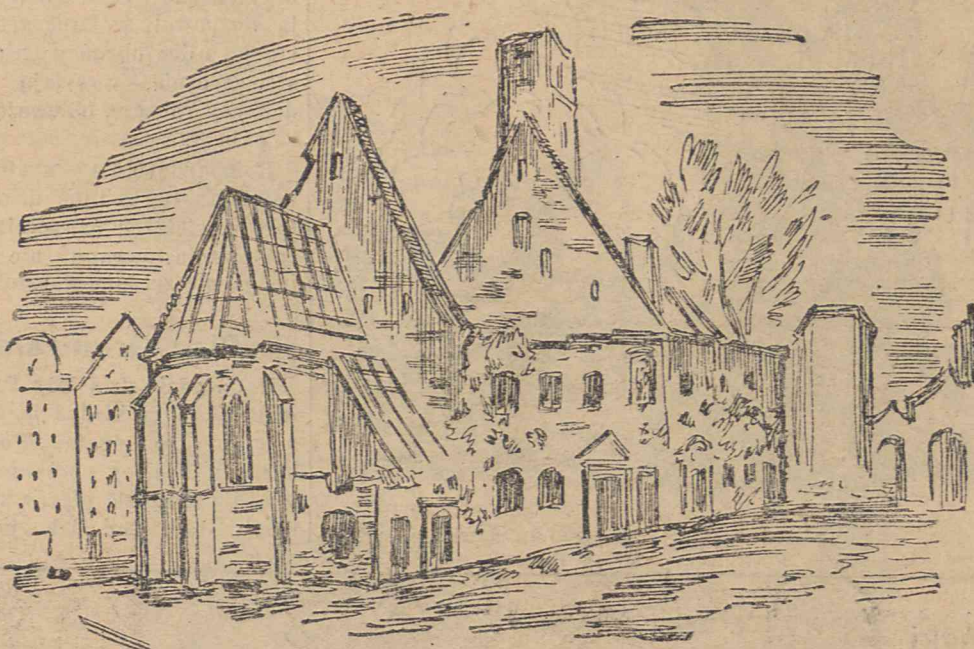
ry i doliny. W Katedrze w lewej nawie leżała góra gruzu, na którą trzeba się było wdrapywać wysoko.

## Księżna Anna i Żerdnik

Od tego czasu usunięto gruz z tych kościołów i nic już nie przypomina tego apokaliptycznego stanu, w jakim je wówczas oglądałem. Z jednym wyjątkiem:

Niedawno, 2 tygodnie temu, wybrałem się do najdalej od śródmieścia odległego XIII-wiecznego zabudku, kościoła św. Wawrzyńca w Żerdniku. Należy on do serii kościołów, ufundowanych przez wdowę po Henryku Pobożnym, księżną Anne. Księżna, długie lata jeszcze żyjąca po śmierci bohaterskiego wodza z Legnickiego Pola, nie ustawała w budowie nowych kościołów. Wszystkie 3 kościoły przy placu biskupa Nankiera jej zawdzięczają swój początek. W prastarej osadzie Żerdnik

istniał wówczas drewniany kościół, nie wystarczający prawdopodobnie na potrzeby parafii. Skłoniono to księżnę do podarowania żerdnickiej parafii 2 łanów roli na zbudowanie nowego kościoła. Po zbudowaniu tegoż (około 1300 r.) zwano całą osadę oprócz starej nazwy: Żerdnik, także: Nowy Kościół, stąd niemieckie: Neukirch. Co do nazewnictwa, to osiedle to nie miało szczęścia. W pierwszym etapie odzyskania używano 2 nazwy: Skorowidz Instytutu Śląskiego ochrzcił je: „Surnik” biorąc za podstawę jedną z kilku łacińskich, zachowanych nazw, a oznaczającą właśnie Żerdnik — Żardnik (przeważnie używano dość wyraźnej formy Żerdnik, psząc np. Sherdnik, Shirdenik, Shirdnik), podczas gdy książd Dolega - Kozirowski ochrzcił je „Żarniki”. Po pewnym czasie przywrócono administracyjnie historyczną nazwę „Żerdnik”. Natomiast na stacji kolejowej pozostał napis: „Wrocław - Żerdnik”. Nie potrzebuję dodawać że Żarniki są w tym wypadku zupełnym nonsensem, skoro w żadnym z przekazów nie ma dźwięku „żar” i skoro osiedle to leży wśród osuszonych bagien, więc niewątpliwie było osiedlem, na żerdziach budowanym.



We Wrocławiu kościoły leżały w gruzach. Wiele pamiątek polskich zniszczył pożar wojny. Jednakże niezłomna wola Wrocławian wznie się z gruzów mury polskich świątyń i przywróci im dawną świetność.

## A w kościele

### św. Wawrzyńca

Wracam do kościoła. Poieciam go obejrzeniu i opiece czytelników „Słowa Polskiego”. Jest to jedyny bodaj kościół, który wygląda tak, jakby tam wczoraj jeszcze terkotały karabiny maszynowe i grzmiały dzwona. Jak runęły sklepienia, jak paspadały krokwie i dachówek, tak po dziś dzień wszystko leży. Rozrzużgotane ołtarze i ławki pokryte kurzem, noszą ślady kul i odłamków. Nie widać niczyjej nad kościołem opieki. Głuchó w nim cicho, chociaż na cmentarzu pod kościołem pojawiły się już świeże mogiły... Polaków - repatriantów.

## IRENA SCHULTZ

# Ostatnie dni niewoli

Doskonale pamiętam tych kilka dzielących nas od wolności dni.

2 maj 1945 r. W naszym schronie przy ul. Reuscherstrasse 34 nieprawdopodobny zgiełk. Niemcy są dziś czymś ogromnie podnieceni. Żołnierze z przeciwka przynieśli przed chwilą 2 wiadra wina. Gretel, córka fabrycznego ślusarza Mergnera gra na harmonii. My, Polki, siedzimy w swoim kącie i nie możemy się zorientować, co się właściwie stało. Czerwony, wrzuszony podbiega do nas nagle Mergner. Krzyczy:

— Hitler ist tot! Ende des Krieges!

— Jakie tam Ende — mówi Stasia, hafciarka z Kalisza, kiedy znowu samoloty, nie?

Rzeczywiście. Coraz bliżej. Gwiżd. Bomba, jedna, druga. Elektryczność gaśnie. Tylko jeszcze migają dwie świece przed fotografią męczyzny w mundurze niemieckiego żołnierza. Tak się od rana pali. Pęczek fiolków obok ciemnieje. Ten żołnierz — to mąż „lokatorki” schronu Gieront. „Heute ist meines Mannes Geburtstag”. Przed chwilą zniknęła z młodym porucznikiem Helmuthem w głąb schronu. Tu skwierczą załośnię świece, tam trzeszczy otomana. Tradycja i aktualia.

3 maj. Ledwo stanęliśmy przy maszynach, kiedy spadł inż. Kluge. Przynieśli z Orsgrupy nowe zamówienie. Stoi z dyrektorem nieopodal. Poprzez nieustanny huk bliskich dział, terkotanie karabinów i stuk dwudziestu miejscow-

wych maszyn dochodzi co chwila jego służbiste „Jawohl!” a potem ostre „Heil Hitler!” Bez entuzjazmu podaje dyrektor majstrowi Sauerowi nowe zlecenie. Już od dawna wiadomo, że nie żywych, tylko trupy niemieckich żołnierzy w te namioty się owija.

Zbieram teraz spod nóg maszynistek namioty. Zosia studentka również z Warszawy układa je na długim stole. Maszynistka Hoffner przeprowadza długo wzrokiem namiot, który właśnie od niej bierę. Ma zapłakane oczy, zabrali jej wczoraj 60-letniego męża do Volksturm. — Noch nich fertig? — pytam. — Ja, aber ich denke, vielleicht hab ich schon diese Decke für meinen Mann genäht.

4 maj. Blücherplatz zalany słońcem. Od strony Olauerstrasse dym. Warcza samoloty. Część robotnic Polki, Niemki ładują na wózki cegły, której tu leżą całe stosy. Do fabryki wozimy. Tam dwóch z Volksturm zamurówuje nimi otwory schronu. Ten wózek jest już z kolei piątą, ale majster mówi, że takich pełnych jak ten, jeszcze dwa dziecięcia przewieźć musimy. Wózek pchamy razem z Zosią. Rozmawiamy z nią o tym, że ta robota jest jednak lepsza, niż chodzenie na front za „ausräumen” — kolumnami. Nie dlatego nawet, żeby woznie cegły było bezpieczniejsze. Od kilku miesięcy nie ma nigdzie w twierdzy Wrocław spokojnego miejsca. Tylko, że przykra jest ta konieczność chodzenia po obcych domach i pustych mieszkaniach. I to

wyrzucanie cudzych rzeczy. Leci wtedy przez okno cała zawartość domu. No i naturalnie czyjes książki, fotografie, listy. A fakt, że to niemieckie nie łagodzi jakoś nieprzyjemnego wrażenia.

Kroczymy, Ring Niemka mówi do tej nowej Martel, że dziś znów dają mięso po 2 f. na osobę. To już drugi raz w tym tygodniu. I cukier. Też 2 funtky. Martel przyjmuje tą wiadomość bez entuzjazmu. „Dają teraz razem z bombami, kiedy przez gardło nie przechodzi. Mija nas czarny długi samochód. Przy szoferze szczipły wojskowy. Naumoff komendant Wrocławia. Pewnie ostatni.

5 maja. Dziś już majster Sauer nie przynieśli „Schlesische Zeitung”. Wczorajszy choć miał tylko jedną stronę, ale jeszcze krzyczał „Wir müssen siegen!” Od paru minut kręci Sauer przy aparacie radiowym. Milczą stacje niemieckie. Mówi tylko Polska i Rosja. Zosia słyszała, jak teraz powiedział do niego dyrektor, że już skapitulowali. Nie nie rozumiemy, bo tu hucają katusze i lecą bomby normalnie jak codzień.

6 maj. Rano. Niedziela. W małym kościółku na Antonienstrasse pełno ludzi a przede wszystkim żołnierzy.

— Powiadacie, że Pan Bóg ó was zapomniał — woła po niemiecku mocny głos.

— Nieprawda! To wyście o nim zapomnieli. Mówiliście: Nie chcemy Boga! Chcemy Polski! Ukrainy! A dlaczego wówczas, kiedy samoloty niemieckie bombardowały Warszawę, Paryż, Amsterdam nie mówiliście, że o was zapomniał.

Pamiętajcie jedno, że jeśli naród niemiecki idzie dziś do niewoli, to tylko wyłącznie za swoje winy!

Mówi proboszcz z kościoła św. Doroty prof. Hoffman. Ten, którego Hitler zabronił wygłaszania kazań. Teraz dopiero w twierdzy Wrocław przemówił.

Wieczór. Tak jest, to jednak prawda, że kapitulują. Do schronu zeszli się żołnierze, znajomi Mergnerów. Obok Giernot siedzi por. Helmuth. Ale rozmawiają bez zwykłego ożywienia. Przyszli się pożegnać. Jutro rano na placu oddają broń. Idą do niewoli. Zosia kłóci się z ciotką, że gdyby i tu do nas Polaków podeszli, za nie im ręki nie poda. Kwestię rozstrzyga Stasia.

— Zawracanie głowy, pożegnania się z nimi panna Zosia i koniec. Oni już są przez to samo nieszczęśliwi, że są Niemcami.

Noc. Pierwsza cicha od 106 dni. Światła zgaszone, ale Mergnerzy nie śpią i dyrektor też. Pala papirosy. Odezwiała się przed chwilą do mnie z łózka Gretel. Pyta, czy bym ją rosyjskiego języka nauczyła nie mogła. Najtrudniej będzie Pani z alfabetem — powiedziałam. Stasia upewnia się u mnie, po raz nie wiem który jako u wyroczni: „Ale mój Hienio chyba przyjdzie z nimi, nie?” Mnie nie trapią podobne wątpliwości, bo do mnie napewno już nie przyjdzie nikt.

— Czy Polacy tak samo bali się Niemców, kiedy do Polski wchodziłi, jak my dziś Rosjan? — pyta Mergner.

Nasz polski kąt milezy. Naraz Stasia energicznie.

— Myśmy się nikogo bać nie potrzebowali, bośmy nikogo nie skrzywdzili.

A teraz, gdyby mnie ktoś zapytał, jak wygląda Wolność, to bym odpowiedziała tak: w ciemnej ra-

mie otwartych drzwi piwnicy, na tle oświetlonej słońcem ściany przeciwległej oficyny kilka par nóg w zakurzonych butach, ciekawe spojrzenia lub karabinowych i rzucone w rosyjskim języku przez jakiś młody głos pytanie:

— Ej, jest tam ljudi, atezwis!  
— Zdarowo tawaraszczy! — zawołałam.

Buty i lufy cofnęły się. Wtedy 7-mego maja r. 1945 o godz. 7-mej wybiegłam na małe podwórko fabryczne przy dzisiejszej ul. Ruskiej 34.

A gdyby mnie ktoś zapytał, jak wygląda Sprawiedliwość, to bym go na dzisiejsze Podwale Mikołajskie zaprowadzić musiała. Stał tam nieopodal dymiących zwalisk młody człowiek w wytartej kurtce z karabinem. Wyszedł 19 kwietnia ze swoim oddziałem z Krakowa. Ludwik Federowicz się nazywa. Pierwszy, ujrany we Wrocławiu żołnierz Polski, już nie w podziemiu. W słońcu. A na budyńku, przy którym straż trzyma, czerwono-biała powiewa chorągiew. I zaraz trzeba patrzeć w ul. Włodkowicza, co się jeszcze wtedy Wallstrasse nazywała. Tam środkiem trotuaru idzie młoda dziewczyna. Ma na rękawie niebiesko-białą o-paskę. Żydówka. Nie ma w niej nic szczególnego. Ciemna włosy, okrągła, jeszcze dziecienna twarz. Takich samych, jak ta tutaj, ginęły setki tysięcy w obozach i w warszawskim ghetcie. Tylko, że ta idzie spokojnie. Iść może w jasny dzień. Nie uświadamia sobie pewnie, czego ją ona jest symbolem.

— Bo to nie zwykła dziewczyna żydowska szła wówczas ulicami Wrocławia. tylko — Sprawiedliwość



# Ludzie Pierwszej Armii

„Na świecie był kwiecień. Drzewa przy moskiewskim Kremlu nabierały już pierwszej żółtawej barwy wczesnej wiosny, noc zaś była czarac. przecinane kiedy niekiedy nożycami reflektorów, plakaty syreny alarmowe. Na jaśniejszym planie nieba, na zachodzie, widać było ciemne plamy balonów zaporowych”.

Tymi słowami Janina Broniewska rozpoczyna książkę, która stanie się wkrótce głośna w całym kraju. Książka ta nosi tytuł: „Ludzie Pierwszej Armii”.

Nie jest to nudna historia jednostki wojskowej, ani naszpikowana trudnymi nazwami i planami wojskowa encyklopedia. Jest to książka o ludziach. O takich samych ludziach, jakich spotykamy codziennie na ulicy w zniszczonych mundurach wojskowych, w wojskowych, polatanych buciorach i z małą wstążeczką w dziurce guzika lub bez niej. Książka o ludziach z Pierwszej Armii. Tylko o ludziach.

Autorowie, którzy przeżywali wraz z nimi chłodne noce, upalne dni, którzy spali, nakrywając się jednym kocem i jedzą z jednej menażki, piszą prosto, bezpośrednio bez patosu. Wiele z opisywanych postaci znanych jest dziś powszechnie. W książce musi je dopiero rozpoznawać, bo trudno w specju od motorów samochodowych rozpoznać dziesięcioletniego dyplomata, który zasiada przy jednym stole z dyplomatami wszystkich mocarstw trudno w czło-wieku o podartych butach poznać dziesięcioletniego ministra. A jednak — taki był początek Ludzi Pierwszej Armii.

Oto zabiera głos Jerzy Putrament — pamiętnikarz Pierwszej dywizji, opisując humorystycznie historyczną jazdę do Siedlc na starym, rozklekotanym „gaziku”. Oto wyrasta przed nami pierwsza Rzeczpospolita żołnierska z wszystkimi jej radościami i smutkami. Wszędzie doskonałe zdjęcia i rysunki. Wydarzenia przesuwają się przed nami, jak barwny kalejdoskop.

Z wszystkich zakątków ogromnego kraju ściągają w naszych oczach ludzie w lacmanach zbiedzieni, rozpadzeni po świecie przez wojnę. Siedźmy przy pułku Bukojemskim i przeżywamy razem moment weryfikacji pierwszych oficerów.

Razem z przedwojennym, smacnym publicystą, Wiktorem Groszem wędrujemy ze Lwowa aż pod Stalingrad. A potem do redakcji „Wolnej Polski”, aby stąd pomaszewać aż do Berlina.

Dywizja powoli krzepnie. Ma już poetę, który szczęśliwie wybawił się od przykrej funkcji kierownika piekarni, ma zespół teatralny, ma — co najważniejsza — uzbrojenie. Cwiczycy. Stąd droga wiedzie już — na Lenino.

Prowadzą nas na Zachód sylwetki. Sylwetka poety Lucjana Szczygi, któremu nie było dane dotrzeć do Warszawy. Sylwetka mł. Hillarego Minea, który idąc do szturmu, widział w myślach zarys przyszłej Polski — Polski dymiącej kominów. Sylwetka dr. Jerzego Sza-chelskiego, organizatora pierwszego Białoczerwonego Sanitarnego. I tego, który pierwszy przetrzął kable przez WL-

się — kpt. Rabanowskiego. Oto sylwetka generała — górnika — Alek-



General broni Stanisław Poptawski Dowódca I Armii Polskiej

sandra Zawadzkiego. Oto długi szereg innych — tak nam dzisiaj do-

brze znanych i nieznanymi, starych — Ludzi z Pierwszej Armii.

Posuwamy się dalej, Przez Frydland Pomorski, Wał Pomorski nad Odrę i poza Odrę. I akord ostatni: Szturm Berlina. Ludzi z Pierwszej Armii jest coraz mniej, coraz więcej ich znaczy swoim ciałami szlak bojowy swojej dywizji i armii. Marszałek Rola - Żymierski wskazuje palcem na gmach Kancelarii rzeszy. Koniec.

„Berlin został zdobyty, a białoczerwony sztandar, powiewający na Kolumnie Zwycięstwa na przeciwko dymiących ruin Reichstagu, dumnie obwieszczał światu triumf oręża polskiego”. — brzmią ostatnie słowa książki.

Cóż powiedzieć na pochwałę książki? Każde słowo wyda się tutaj banalne i zbyteczne. Rywają książkę, których treść i temat stanowi dostateczną ich ocenę. Jeżeli jednak do interesującego i aktualnego zawsze tematu dobrane zostanie najbardziej interesujące każdego treść jeżeli szata graficzna, papier, ilustracje staną na poziomie, tworząc książkę, jakiej nie wydano jeszcze po tej wojnie — całość wypadnie imponująca.

Książka „Ludzie Pierwszej Armii”



zawiera 362 ilustracje, w tym 225 fotografii, 110 rysunków. Opracowała ją kilkunastu znanych autorów.

Nie jest to recenzja, co napisałem o książce „Ludzie Pierwszej Armii”. Trudno pisać recenzję o barwnie napisanej w formie pasjonujących noweli i opowiadań historii odradzającej się Armii Polskiej. Czas nie pokrył jej jeszcze przymem zapomnienia to też opisywane tu wydarzenia przeżywamy razem z autorami. Kto zaś zda'a był od wypadków, rozgrywających się

między Siedlcami a Charlottenburgiem, kto patrzy na Ludzi Pierwszej Armii, jak na ludzi nieznanymi i nowych — niech weźmie ją czym prędzej do ręki. Żyją oni na jej kartach w tej postaci, która przedzie do historii. Nie są tam bohaterami, ministrami, dyplomatai, poetami. Są zwykłymi, szarymi, ubranymi w litche płócienne dreluchy — żołnierzami Pierwszej Armii. Tej samej, która dwa lata temu zatknęła białoczerwony sztandar na murach płonącego Berlina. AL. K.

## We Wrocławiu żyją bohaterowie II Armii Polskiej

# Jak sforsowano Nysę

Kiedy zbliżam się do Domu Inwalidów we Wrocławiu, ogarnia mnie dziwne uczucie. Czy ten, który walczył o wolność tych ziem, zrozumie, że nie powoduje mna żadna tania ciekawość, że ograńe wydobycia z mroków dwulecia przeżyta Historię? Że chcę przypomnieć społeczeństwu Śląska: pamiętajcie o ofiarach wojny!

### Jak forsowano Nysę

Rozpoczynam rozmowę z ppor. Słoniwskim. Pochodzi z Cieszyna. W roku 1944 ukończył Szkołę Oficerską w Lublinie i wraz z II Armią Polską jako dowódca strzelców ruszył na front.

Trudno jest dzielić się wspomnieniami frontowymi. Strząskana ręka i proteza nogi mówią więcej, niż wszelkie wielkie słowa.

Ppor. Słoniwski brał udział w historycznym forsowaniu Nysy. W dniu 3 kwietnia jednostka, do której należał, rozpoczęła marsz nad rzekę. Święta Wielkanocne spędzone w okopach były już poza nimi. Wierzyli, że to była ostatnia Wielkanoc wojenna.

### Tratwy, które przejdą Nysę

11 kwietnia w kilkunasto-kilometrowej odległości od brzegu zbudowano tratwy i pontony. Sytuacja nie należała do łatwych. Naprzeciwko okopów wyrastała wzdłuż rzeki zalesiona wyspa, którą przez nieprzyjaciela. Na drugim brzegu rzeki znajdowały się 3-giej w noc — oddziały

widzieć było umocnienia i bunkry niemieckie.

W pewnym momencie jeden ze strzelców plutonu dostrzegł odbłask lornetki w okopach nieprzyjacielskich. Zanim jednak przygotował się do strzału padł — zabity.

Powiew śmierci przeszedł koło od działu.

Przez dwa następne dni panowała cisza.

### Wypad na wyspę

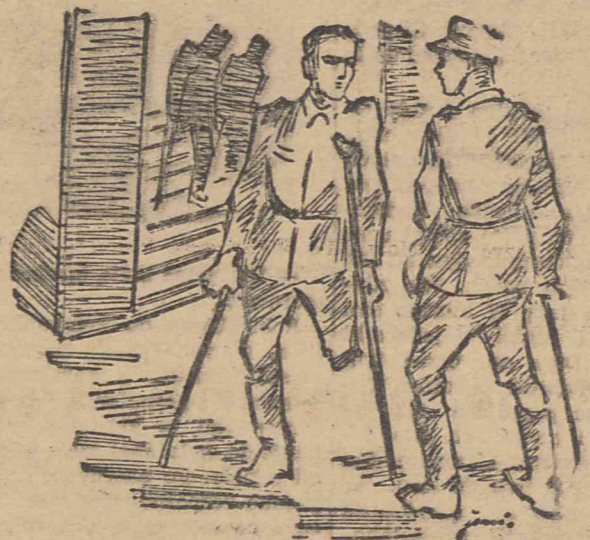
14 kwietnia sąsiadujący pułk przedarł się na wyspę i brawurowym wypadem utworzył przyczółek.

Tymczasem w głąb wyspowego lasu nieprzyjacieli zamaskowany na drzewach ostrzeliwał saperów, budujących most dla przejścia czołgów. Most połączył prawy brzeg Nysy z wyspą. Niemcy wycofują się do bunkrów.

Piotr Słoniwski jako dowódca plutonu przedni przez kładkę na wyspę i tu wraz ze swymi chłopcami przystępuje do rozminowania terenu, nasz rozmówca ma na swym koncie nieszkodliwe 50 m.n). Poza minami natknęto się również na zamaskowane rakiety.

### Nočný atak

Ostateczna ofensywa na pozycje niemieckie nastąpiła w nocy z 15 na 16 kwietnia. W przeddzień pod ostrym ogniem nieprzyjaciela przygotowano łódki do przeprawy. O godzinie 23.00 — oddziały



Na ulicach naszych miast spotykamy współtwórców zwycięstwa, którzy naszą wolność okupili swym ciężkim kalectwem.

polskie ruszyły do ataku.

Szczególnie niebezpieczne było przejście przez las na wyspie. Niemcy posługiwali się kulami, świetlinami. Żołnierze nie mogli się okopać, gdyż nawet przykleknąć wystarczyło, aby momentalnie dostać śmiertelny postrzał. Czołgali się wśród gałęzi i krzewów.

### Ogień huraganowy

16 kwietnia wczesnym rankiem rozpoczęło się przygotowanie artylerystów. W huraganowym ogniu wzięty udział wszystkie działa odcinka. Huk był oszałamiający. Rozkazy wydawane były na migi.

Ze strony niemieckiej odpowiedziano również silnym ogniem. W pewnym momencie do przydzielonego plutonu CKM wpada pocisk moździerz. Cała załoga pada.

Po dwu godzinach siła ognia nieprzyjacielskiego osłabła. Pod osłoną zasłon dymnych i artylerii otęchła rusza do natarcia. Wśród Niemców powstaje popłoch i zamieszanie. Polacy osiągnęli drugi brzeg Nysy — bądź wpływ bądź na zapomnianych przez Niemców kładkach. Równocześnie przeprowadzają się już czołgi.

### Forsujemy Nysę

Po dwu godzinach odpoczynku, sformowaniu plutonu, ewidencji rannych i zabitych, następuje dalszy pościg za nieprzyjacielem.

Ppor. kończy swe wspomnienia:

— Pomimo ogromnego zmęczenia i wyczerpania — entuzjazm nasz był wielki. Była to nasza pierwsza zaprawa ogniowa. Sam brałem udział w pościgu przez dwa dni, w ciągu których stoczyliśmy kilka potyczek. Zostałem ciężko ranny w momencie odejścia na odpoczynek.

— A wasza sztuczna noga poruczniku?

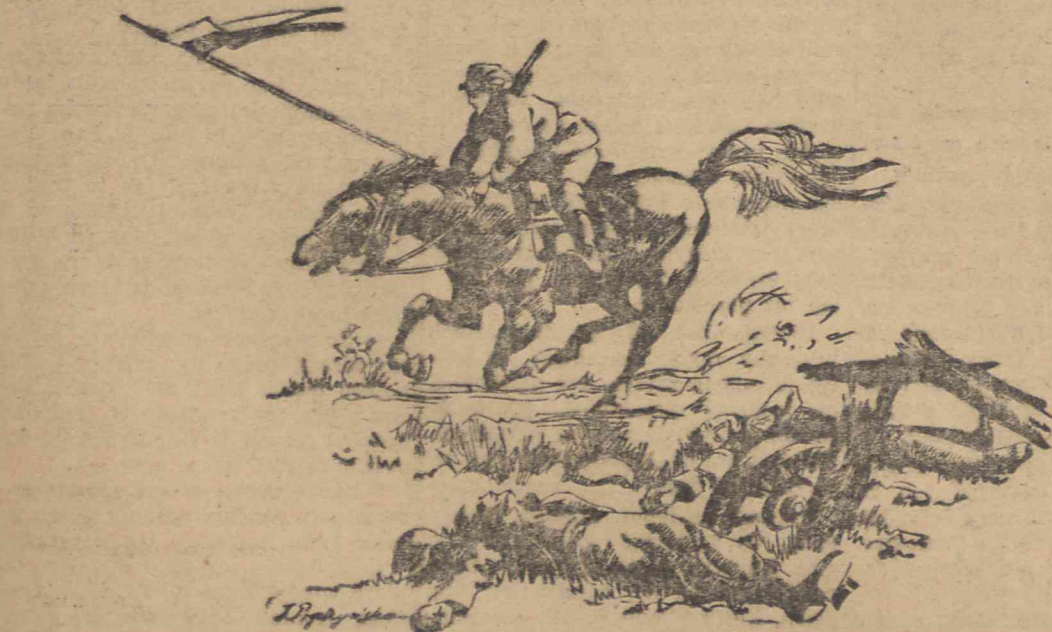
Porucznik uśmiecha się z zakłopotaniem?

— Noga to znova inna karta historii tej wojny...

Tak we wrocławskim Domu Inwalidów można przejrzeć wiele kart tak niedawnej, a jednak już tak wielkiej historii.



Przed dwu laty w czołgach zdobywali Berlin — dziś są inwalidami. Otoczmy ich specjalną opieką.





# Prosta sprawa

## Ze wspomnień o Szkole Oficerskiej I Armii Polskiej

W przyrodzie było przedwiośnie. Śnieg znikł, zostawiając na równinnych polach pomorskich postrzępione skibami kałuże, posplatane ze sobą srebrną przedzą mokrych brzd.

W historii narodu polskiego była pełna wiosna. Od Wisły ku zachodowi przemieściła się przez zniekane okupację ziemie polskie burza piorunującej ofensywy, zmiotła z tych ziem prusackie robactwo. Rozciągnięte nieprzerwaną linią od Bałtyku do Karpat dywizje Armii Czerwonej i dywizje I Armii Wojska Polskiego, prace zwycięsko ku Odrze, przekroczyły granicę przedwzrostną.

Przechodząca dziś już do historii i legendy I Armia była wówczas żywym organizmem, w którego piersiach pulsowało pół miliona serc. Jednym z nieodłącznych jej organów była Szkoła Oficerska I Armii WP. Szkoła ta od chwili sformowania się na ziemi zabużańskiej niemal krok w krok posuwała się zawsze za swoją Macierzą. Do niej po wiedzę dowódcy i po gwiazdki przychodzili w omawianym tu okresie chłopcy, pachnący dymem prochowym, okurzeni frontowym pyłem — bo przychodzili prosto z okopów. Nie rzadko mieli już medale i krzyże, a zawsze kieszeń wypchaną podziękowaniami za dzielny udział w zdobyciu takiego, takiego, i jeszcze takiego itd... miasta. Z tych chłopców po kilkumiesięcznym, intensywnym przeszkoleniu robili się oficerowie, których nie zbierano tutaj chwalić, bowiem pochwalili ich już historia ustami Krajowej Rady Narodowej.

Posuwanie się tej szkoły za frontem odbywało się w ten sposób, że do upatrzonego z góry, świeżo zdobytego miasta, wyjeżdżała grupa operacyjna w sile jednej kompanii podchorążych, wybierała odpowiednio lo cum dla szkoły.

Jako grupa operacyjna Szkoły Oficerskiej I Armii WP przyjeżdżamy do jednego ze świeżo zdobytych miast na Pomorzu, pachnących jeszcze frontem. Na ulicach, podwórzach i ogródkach gęsto spotyka się walecznych z lotewskiej dywizji 58, którzy nie zdążyli uciec. Nie zdążyli dlatego, że leżą. W mieście stoi jeszcze sztab I Armii i jednostki przysztabowe. Dwa dni przed tym niemieckie niedobitki z borów Tucholskich chcąc przedrzeć się do swoich, napadli na miasto. Ale dostali w skórę i w zmniejszonym składzie czmychnęli znowu do lasu. W dwa dni po naszym przyjeździe sztab Armii i jednostki przysztabowe siadają na maszyny i odjeżdżają na zachód. Front szybko posuwa się ku Odrze. Tylko Poznań zostaje w tyle, jak niedostępna wyspa, na której okrążeni Niemcy bronią się zaciekłe.

W mieście zostaje zapasowy pułk piechoty, nie posiadający prawie żadnego uzbrojenia, oprócz broni ręcznej, i my — uzbrojeni tak samo.

Miasto jest znacznie zniszczone, a wyludnione prawie zupełnie. Wtedy jeszcze Niemcy byli przekonani, że jest dokąd uciekać. Drugiego dnia po odjeździe sztabu Armii, dość późno wieczorem, zwywa nas na pilną odprawę dowódca naszej grupy. Zbieramy się w jego pokoju przy lampie naftowej. Na stole leży mapa. Podpułkownik jest wyraźnie zaszpecony, ale opanowany. Czujemy coś niezwykłego...

— Siadajcie — rzekł krótko. Usiedliśmy.

— Sytuacja jest taka: Okrążeni w Poznaniu Niemcy skupili całą siłę uderzenia na jeden odcinek, przewali pozycje sowieckie i wyrwali się z okrążenia. Posuwają się w kierunku północnym-północno-zachodnim, a więc na nas. Tutaj spodziewać się ich należy przed świtem...

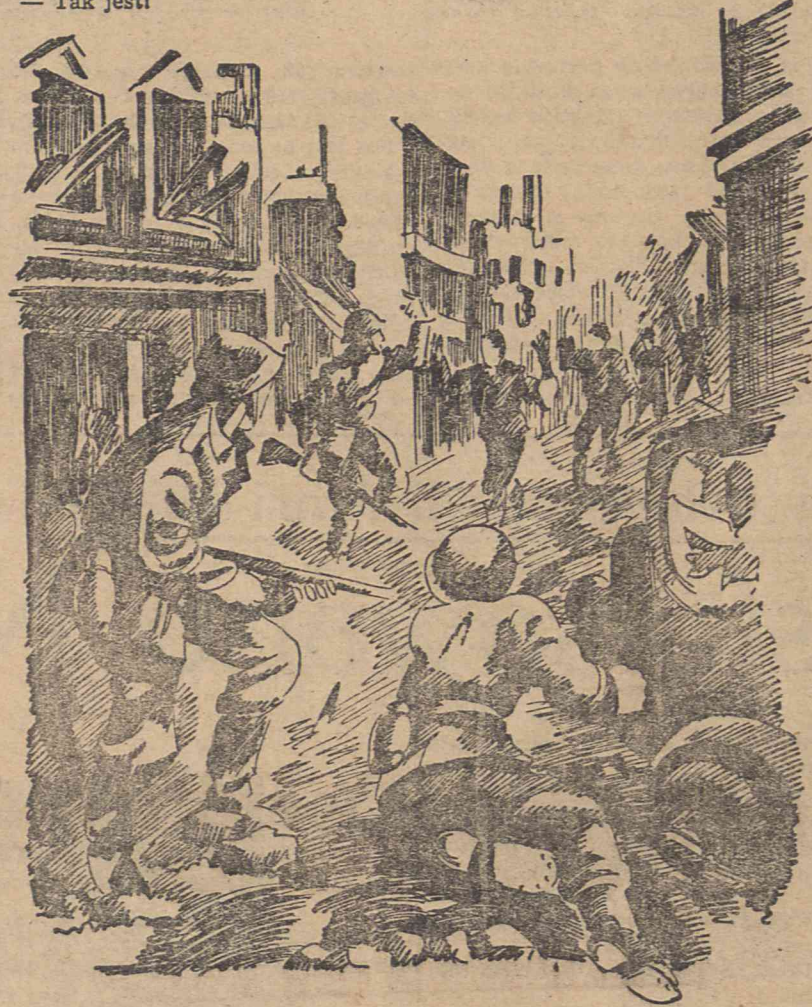
Silami garnizonu, — mówił dalej, — zajmijmy obronę dookoła miasta. Dwa plutony naszej kompanii pod dowództwem porucznika Dziadury zajmą obronę wsi Blankenfelde, dwa pozostałe w folwarku na zachód od Blankenfelde. Oba oddziały posuwają się szosą do wsi Blenkwitt, tam rozchodzą się — pierwszy

Przechodząca dziś do historii i legendy I Armia Polska, była wówczas żywym organizmem, w którego piersiach pulsowało pół miliona serc.

Jednym z nieodłącznych jej organów była Szkoła Oficerska I Armii. Szkoła ta od chwili sformowania jej na ziemi zabużańskiej posuwała się za swą Macierzą. Piersi podchorążych zdobyły coraz liczniejsze krzyże. Szlify oficerskie zdobywali w ogniu.

w lewo, drugi w prawo. Broń wspomagającą otrzymacie — jaką, w tej chwili jeszcze nie wiem. Pozostałe punkty obrony obsadzą oddziały pułku zapasowego, i oddział, sformowany przez sowiecką komendę miasta. Moja kwatera tutaj. Łączność przez gońców. Natychmiast po zajęciu obrony przysłać szkic i meldunek. Zrozumiane?

— Tak jest!



— Utrzymać stałą łączność. Odna szerować.

Pobiegliśmy do kompanii. Zrobiliśmy alarm. W kilka chwil później maszerowaliśmy z karabinami, automatami i granatami — przeważnie zaczepnymi, w kierunku wsi Blankenfelde, położonej sześć kilometrów od miasta. Po przybyciu na miejsce prędko rozpoznaliśmy teren i wyznaczyli schroniska. Podchorążowie zaczęli się okopywać. Wkrótce przyby-

ło nam do uzbrojenia cztery działka z obsługą. Jedno z nich mogło strzelać celnie, dwa na oko, a czwarte głośno. Oprócz tego otrzymaliśmy trzy moździerze — po dwie miny na każdy moździerz. Czy mogliśmy mieć żal z tego powodu, że pierwszo-

jaśnił chłopcom zadanie. Nastrój był zupełnie dobry. Czy myślecie, że nie zdawałoby nam się sprawy z tego, co stałoby się z nami w tej tak nierównej walce? Nasza wieś leżała przy szosie, biegnącej w kierunku, z którego właśnie należało się spodziewać tych nieproszonych gości. Pierwsze uderzenie spadłoby za tym na nas. Albo czy sądzić, że zamieniliśmy się wszyscy w desperackich bohaterów, pragnących umrzeć heroicznie? Ależ nie! nie! Każdemu z nas właśnie wtedy najbardziej chciało się żyć. Ale to wcale nie znaczy, że nie byliśmy zdecydowani podjąć walkę.

Ale oprócz wszystkich innych uczuć przeżyliśmy wtedy w małym skrócie to, co naród polski przeżywał przez całe lata potwornej okupacji. Modlitwą nadzieję na Armię Czerwoną.

Chłopcy poszli uzupełniać swoje stanowiska ogniowe. Trzeba było przeprowadzić wywiad na przedpolu. Szaleńczo ryzykancki: zawsze pod chorążym Gaweł wyrwał się do tego bez wahania. Poszedł naprzód, a za nim ppor. Zawadzki z drugim podchorążym. Oficerowie chodzili wzdłuż pozycji, sprawdzając stanowiska, poprawiając. Robiło się coraz chłodniej. We wsi, która była za nami, w odległości około stu metrów od nas nęczyły kusząco jakieś słabo oświetlone okna.

Dowódca oddziału popatrzył na te okna i uległ pokusie.

— No, do świtu jeszcze daleko, a my obronę mamy gotową, — stwierdził z udaną dumą. — Chłopcy jeszcze rozgrzewają się kopaniem, ale my pomarliśmy. Sądzę, że temu korpusowi i dwudziestu czterem czołgom nie się nie stanie, jeśli my ogrzejemy się trochę w jakiej izbie. Napiżemy przy tym uccziwie meldunek, zrobimy szkic na czysto...

Wszyscy byliśmy za tym. Dwóch oficerów zostało na pozycjach, pozostali w liczbie czterech skierowaliśmy się ku tym ponętym oknom. Postukaliśmy do drzwi. Przez niewielką sień weszliśmy do obszernej izby, oświetlonej niktym światłem lampy naftowej. Na dwóch łózkach ciasno ułożeni spali ludzie, na kanapie spali ludzie, na podłodze spali ludzie. Tylko przy drzwiach było trochę miejsca i wąskie przejście do następnych drzwi.

— Guten Abend... — mruknął nie-

rzeźną broni i sprzęt pólano na pierwsze linie, do ofensywy, a w naszym garnizonie zostały tylko takie zabytkowe eksponaty? Rzecz jasna, że nie. Wiedzieliśmy przecież, że działka nie rosną w lesie pod jałowcem.

Działka i moździerze szybko zajęły stanowiska i byliśmy gotowi do stawienia oporu niemieckiemu korpusowi i dwudziestu czterem czołgom. Dowódca oddziału krótko ob-

wniosie, jeżeli potrafili nie tylko wytrwać, ale i pozostać. Tak się złożyło, że później określenie „pionier” wywoływało znaczący uśmiech na wielu ustach. I może słusznie, lecz tylko w stosunku do takich pionierów, którzy przyszli tu i równie szybko odeszli. Zostali ci, którzy dziś jeszcze z dumą mówią o sobie „jesteśmy pionierami”. Nie jest ich wielu. Wniknęli w tłum i obecnie każdy na swym odcinku pracy wnosi swój wkład w odbudowę miasta, które stało się ich miastem. Pokochali to miasto, które własnymi rękami ratowali od ognia, w którym głód i choroba nie były im obce. To miasto jest ich ich już pozostanie.

Dlatego dziś, gdy po dwu latach wracamy myślą do chwili, w której to miasto zaczęło żyć polskością, nie możemy zapomnieć, jak wiele zawdzięczamy pierwszym pionierom. Założyli oni silne podwaliny pod to, co dziś już jest.

Przyszli następni, przyjdą jeszcze dalsi by budować i tworzyć. Dla nich i innych, niech ci pierwsi będą wzorem, niech ich ożywia ten sam ogień, który płonął w ich sercach.

dbale któryś z nas. — Dobry wieczór... Proszę! proszę...

— Co? Polacy?! — wykrzyknęliśmy kwartetem.

— Polacy, Polacy... — rozległo się ze wszystkich stron.

I zrobił się mały szum. Okazało się, że nikt nie spał, tylko wszyscy udawali śpiących, bo nie wiedzieli, jakiego licha garnie się do ich kryjówek. A teraz rozgadali się.

Najwymowniejszy był gospodarz. Siedział na swoich trzydziestu hektarach od dziada-pradziada i ani na chwilę nie przestawał czuć się Polakiem. Wyjął z kieszeni i pokazywał nam przyniesioną legitymację jakiegoś „Związku Polaków w Niemczech”, czy „Zachodniego Związku Polaków”. Opowiadał, że w trzydziestym dziewiątym roku, kiedy zaczęły się szczególnie ostre prześladowania Polaków, związek ten zakonspirował się, legitymację trzeba było skrutnie zachować. A teraz wydobył ją z ukrycia, bo już prześladowcy nie było.

Reszta nocy zesłała nam bardzo szybko. Zmienialiśmy się kilkakrotnie, a przed brzaskiem wyszliśmy wszyscy na pozycje.

Postaliśmy jeszcze raz wywiad na przedpolu. Wywiad nie przyniósł nic nowego. Było rzeczą jasną, że jeśli nawet dotrą do nas, to nie w sile jednego korpusu i dwudziestu czterech czołgów.

Kiedy dzień ostatecznie rozpedził mroki, strzelanina ucichła. Poławił się „kukuruznik”, który długo latał nad samymi wierchołkami sosen pobliskiego lasu, szperał po prostu między drzewami, a później odleciał na południe. To ostatecznie potwierdziło słuszność naszych przypuszczeń. Nie spotka nas zaszczyt rozgromienia korpusu niemieckiego i dwudziestu czterech czołgów, bo ktoś już to zrobił.

— Ale rozkazu o powrocie do miasta jeszcze nie było.

Tak zakończyło się pierwsze spotkanie z „autochtonami”. Wtedy oczywiście nie przedstawiłem sobie na wet, że tak będzie się ich nazywać. Nie przedstawiałem sobie również, że ktokolwiek zdobędzie się na zaprzeczenie naszego prawa do nich. Anglia była nam tak przyjazna, Ameryka była rooseveltowska...

Takich znajomości zawarłem później dużo. Nie sposób wszystkie spamiętać.

Nigdy nie zapomnę dzielnego soltysa ze wsi, położonej za Blankenfelde. Był to typowy polski gospodarz i miał zoną typową polską gospodynię. Dzieci już nie mówiły po polsku. Dwie starsze córki już nie ze skupioną, lecz po prostu z naprężoną uwagą słuchały, gdy się do nich mówiło, ale odpowiadały z zaciętością po niemiecku. Dla oca w tej chwili było to tragedią. To też z zacięciem zrewanżował się, dwunastoletnim synem. Przyprowa-

dził go do pokoju, zapytał:

— Jak się nazywasz?

Chłopak poczerwieniał i powiedział:

— Jan Tichocki.

— Cichocki... — dyskretnie poprawił ojciec. — A ile lat masz?

— Dwanoście...

— A kiedy jesteś urodzony?

— Dwadziestego lipca trzydziestego czeciego roku...

Ojciec popatrzył na mnie z taką dumą, jakby jego dwunastoletnia letorośl konajmniej po jaraczowsku zadeklamowała była całego „Pana Tadeusza” na pamięć. Ojciec zaczął skarżyć się z goryczą, jak to trudno było i coraz trudniej zachować u dziecka polską mowę. Jak to hitlerowcy coraz bardziej ze skóry wyłazili, a żeby polskim dzieciom odebrać język ojczysty.

— Jo sie nieroz mortwiłem, że jak my starzy bedziemy umarci, to już polsko mowa tutaj nie ostanie. Teror ale to już wszystko w ordynku bedzie... roześmiał się szeroko i z ufnością zajrzał mi w oczy.

W ten zupełnie prosty sposób wyraził cały skomplikowany spłot uczuć, jakie kojarzyły się w umyśle.

Cała Polska została wyzwolona do piero wtedy, kiedy nad Odrą i Nysą nasz żołnierz objął straż graniczną.

TADEUSZ TUŁASIEWICZ

## Pierwsi pionierzy

Trudno się dziś pogodzić z myślą, że zaledwie dwa lata upłynęły od czasu gdy pierwsze szeregi pionierów polskich weszły do miasta, ażeby objąć nad nim władzę administracyjną. Czas ten w biegu wypadków należy dziś do dalekich już wspomnień. Wrocław z maja 1947 jakże daleki jest od Wrocławia z tego historycznego maja 1945 roku.

Dla kogoś, stale obserwującego od samego początku rozwijające się polskie życie w mieście, zmiany te są niedostrzegalne. Poprostu nie widzi ich dlatego, że sam w nich tkwił i sam współdziałał w ich powstawaniu. Ale już dla kogoś, kto choćby po roku przyjechał do miasta są one widoczne i rzucające się w oczy.

Niewątpliwie, nazwęwając zmian mało. Ogrom ruin przygniata dziś, tak samo jak przed dwoma laty. Tu i ówdzie tylko zaleczone, czasem powierzchniowe, rany nie mogą z dnia na dzień zmienić oblicza miasta. Lecz o ile przed dwoma laty było ono na wewnątrz martwe, dziś pulsuje życiem, jest jak rekonwalescent, który po długiej chorobie wyszedł na świat i odczuwa piękno życia. Wrocław żyje, odradza się, a

równocześnie przeradza się w miasto zupełnie nowe, o innych założeniach i innym charakterze.

Gdy przed dwoma laty mała grupa Polaków przybyła do Wrocławia, miasto nie tylko wydawało się, ale i było zupełnie martwe. Nikomu nawet na myśl nie przychodziło wówczas, że będzie ono już za dwa lata takie, jakim jest dziś.

Przerazał ogrom zniszczenia, zadržwała ilość niemieckich mieszkańców. Olbrzymie też były zadania.

Dziś łatwo jest krytykować, dlatego tego czy owego nie zrobiono. Wówczas usiłowano zrobić przynajmniej to, co w danych warunkach można było zrobić. Nie badano, czy dobrze czy źle, jedynie dążono do wykonania pewnej pracy, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że jeżenawet coś nie jest zrobione dobrze, to na poprawę jest czas późniejszy.

Zaczęła się więc ta praca, w warunkach czasem tak trudnych, że dziś naprawdę dziwi się należy, jak ci pierwsi chcieli w ogóle pracować. Jakie cele mieli przed sobą, jaki ogień w nich płonął? A jednak wiadać, że ogień ten był silny, a cele